

Józef Zbigniew Miazga urodził się 11 marca 1945 r. we Frampolu, woj. lubelskie. W czasie nauki w tamtejszej Szkole Podstawowej, a później w I LO im. St. Staszica w Lublinie, był aktywnym członkiem, a następnie instruktorem Związku Harcerstwa Polskiego.

Przez cały okres studiów (pedagogika i filologia polska - Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej, 1963-68 r.) był działaczem Zrzeszenia Studentów Polskich, najpierw wiceprzewodniczącym Rady Uczelnianej UMCS, a później środowiskowej Rady Okręgowej ZSP. W jego gestii znajdowały się sprawy kultury oraz studenckich mediów. W latach 1967-68 współredagował studencką kolumnę w „Kurierze Lubelskim” - „Konfrontacje”, prowadził Kronikę Studencką w regionalnym „Sztandarze Ludu”, współpracował z ogólnopolskim tygodnikiem studentów „itd”. W okresie studiów był również współorganizatorem cieszących się powodzeniem lubelskich juwenaliów - Kozienalia, ogólnopolskich imprez teatralnych i filmowych, seminariów dyskusyjnych.

Pracę zawodową podjął w 1968 r. w redakcji „Sztandaru Ludu”, w dziale terenowym. A później, do 2000 r., w tej redakcji, również po zmianie tytułu na „Dziennik Wschodni”, kierował działem kultury oraz pełnił funkcje redaktorskie. Z tego też okresu pochodzą jego reportaże nagradzane na ogólnopolskich i regionalnych konkursach. Publikacje te poświęcone były ważnym wydarzeniom z przeszłości i współczesności Lubelszczyzny, nietuzinkowym mieszkańcom, pokazywały ludzką krzywdę. Znalazły się one m.in. w autorskim tomie „Tam, gdzie diabeł pilnuje okowity” (Krajowa Agencja Wydawnicza, 1986), a także zbiorowej książce: „Górniczne przedwiośnie” - „Pół kilometra w głąb ziemi” (Wydawnictwo Lubelski, 1976). Na uwagę zasługuje też pamiętnik-dokument lubelskiego „natuszczyka” Henryka Mularskiego pt. „Dzielnica cudów”, którego literackiego opracowania dokonał właśnie J. Zb. Miazga. Najświeższym plonem jego reporterskiej pracy jest zbiór dwunastu dokumentalnych relacji pod roboczym tytułem „Życie codzienne w Lublinie 1944”, które zostały złożone w Wydawnictwie UMCS, a ukazać się mają w 2004 r., w 60-lecie zakończenia II wojny i powołania do życia tego uniwersytetu.

Obecnie J.Zb. Miazga pracuje w „Dzienniku Wschodnim” na stanowisku dziennikarza zajmującego się sprawami lubelskich uczelni oraz kultury. Współredaguje ogólnopolski miesięcznik małego i średniego biznesu „SuperKontakty”, redaguje branżowy miesięcznik „Piekarz Polski”. Bierze czynny udział w pracach towarzystw kulturalnych i regionalnych, szczególnie: Lubelskiego Towarzystwa Muzycznego i Towarzystwa Przyjaciół Kazimierza Dolnego, zajmując się popularyzacją ich dorobku. Natomiast jako członek Klubu Rotary Lublin-Centrum uczestniczy w inicjatywach społecznych i charytatywnych podejmowanych przez ten klub, jak ostatnio: współfinansowanie istniejącej w Lublinie szkoły muzycznej dla dzieci specjalnej troski oraz organizowanie polsko-ukraińskiego centrum przeszczepu szpiku kostnego, we współpracy z Akademią Medyczną w Lublinie.

Od 1969 r. jest aktywnym członkiem organizacji dziennikarskich: Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a obecnie Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Aktualnie już drugą kadencję pełni funkcję przewodniczącego lubelskiego Oddziału SD RP (wcześniej - wiceprzewodniczącego). Od 1983 r. zasiada we władzach naczelnych tej twórczo-zawodowej organizacji dziennikarskiej. Aktualnie

jest członkiem Prezydium i Zarządu Głównego SD RP. W ramach tej działalności inicjuje i jest współorganizatorem środowiskowych oraz ogólnopolskich seminariów traktujących tak o walorach Lubelszczyzny, jak również poświęconych warsztatowi dziennikarskiemu oraz etyce w uprawianiu tego zawodu, adresowanych do dziennikarskiej młodzieży. Integracji lubelskiego i krajowego środowiska dziennikarskiego, a przy tym wszystkich pokoleń, służą organizowane przez lubelski Oddział SD RP, którym kieruje: doroczne konkursy na najlepszych młodych dziennikarzy, tustoczwartkowe i wiosenne imprezy, pomoc materialna osobom jej potrzebującym. Z jego inspiracji przygotowywany jest aktualnie do druku „Słownik dziennikarzy lubelskich”, będący równocześnie historią prasy lubelskiej od XIX stulecia, do czasów nam współczesnych.

Są w historii Lublina daty zasługujące na pamięć i są ludzie pamięci godni. W znajdujących się tu reportażach przywołuję wydarzenia sprzed sześćdziesięciu lat - z pamiętnego 1944 roku. Ale przede wszystkim wspomnienie ludzi, zwykłych lublinian, którzy żyli w tym wyjątkowym czasie.

Opowiadali:

- Skończyła się straszliwa niemiecka okupacja. Polskie słowo powróciło na ulicę, do gazet i radia, do teatru i na sportowy stadion. Biało-czerwone chorągiewki, wydawało się, realnymi czyniły nasze, skrywane przez lata wojny, marzenia o wolnej i sprawiedliwej Polsce. Stąd nasz entuzjazm latem 1944.

I dodawali:

- Szybko jednak okazało się, że zostaliśmy oszukani. Znowu zapanował terror. Tyle, że kto inny nas teraz niewolił... Bohaterowie tych opowieści godni są Twojej uwagi. Zdarzyć się może, iż rozpoznasz wśród nich swoich bliskich, znajomych. Toteż, proszę, odwróć tę kartę. I następnie...

Autor

Opowieści z dymiącego miasta

Jest to opowieść o Lublinie w ostatnich dniach lipca 1944 roku. A bliżej prawdy - wspomnienie miasta i zdarzeń zapamiętanych przez kilku ludzi: polskiego żołnierza, rosyjskiego oficera, lubelskiego partyzanta oraz miejscowego strażaka. Ludzi im podobnych poszukiwałem, a że odnalazłem akurat tych, stało się to zrzędzeniem losu.

W wyniku radzieckiej ofensywy, rozpoczętej 21 lipca 1944 roku, załamała się niemiecka obrona wzdłuż linii Bugu i wojska I Frontu Białoruskiego wkroczyły na Lubelszczyznę. 22 lipca, korpus dowodzony przez gen. Konstantinowa, wspólnie ze 107 brygadą pancerną i 5 pułkiem motocyklistów, zajęły Chełm i Włodawę. Tegoż dnia ogłoszono wiadomość o powstaniu PKWN i opublikowano jego Manifest.

Szybki marsz jednostek radzieckich wywołał panikę wśród Niemców i ich ewakuację za Wisłę. Główna fala uciekających Niemców przeszła przez Lublin w nocy z 21 na 22 lipca.

Teraz o bohaterach tego reportażu, którym przypadnie również rola narratorów zdarzeń.

Plutonowy Stanisław Burzak, przed wojną ślusarz w Lubelskiej Wytwórni Samolotów, był prawdopodobnie pierwszym żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego, który jeszcze przed oficjalnym dotarciem polskich jednostek, 23 lipca 1944 r., indywidualnie "wkroczył" do Lublina. Oto jak do tego doszło.

W kwietniu 1940 roku, ratując się przed wysłaniem na roboty do Rzeszy, ucieka na wschód. Przeznaczeniem jego - powiedzmy jasno: nie najgorszym z możliwych - ma stać się robota flisaka na rzekach Komi, autonomicznej republiki radzieckiej na dalekiej północy. Potem zostaje drwalem, a jeszcze później awansuje na ślusarza. Gdy do malutkiej Wizyngi, wyznaczonej mu na miejsce pobytu, dociera wiadomość o powstaniu I Dywizji im. Kościuszki, wsiada na ciężarówkę z silnikiem opalany drewnem, potem podróżuje pociągiem i statkiem, a do Sielc dochodzi pieszo.

Jest maj 1943 roku. Po krótkim szkoleniu, przysiędże złożonej w rocznicę bitwy pod Grunwaldem, jako artylerzysta wyrusza na front. W czasie bitwy pod Lenino, jest celowniczym działka 45 mm. Podczas walki, kiedy akurat wstrzelał się w jeden z niemieckich punktów oporu, zostaje ranny. Dalsze koleje losu: pobyt w szpitalu, z którego pozostała mu pamięć głodu, szkoła podoficerska pod Smoleńskiem, i znów Sielce. Teraz, jako dowódca plutonu dział 76 mm, ma swój udział w formowaniu III Dywizji i szkoleniu nowych, młodych artylerzystów.

22 lipca 1944 roku, razem ze swoją jednostką, przeprowia się przez Bug. Ludzie wiwatują na cześć polskich mundurów. Gdy bateria zatrzymuje się na nocleg, gdzieś między Puchaczowem a Ciechankami, po raz pierwszy od czterech lat jest tak blisko rodzinnego domu, że nie sposób oprzeć się pokusie. W ciągu tych czterech lat nie

napisał do domu ani jednego listu. Bo i miał na to swój pogląd: "gdybym zginął, płakaliby dwa razy..." Wie już, że jego bateria pójdzie drogą mijającą Lublin. Prosi więc dowódcę - Mietka Pietruczę, z którym podążał z Komi do Sielc, o pozwolenie zobaczenia swoich. Następnego dnia świtem, 23 lipca, wskakuje na skrzynię ciężarówki wiozącej zaopatrzenie dla oddziałów radzieckich walczących już na ulicach Lublina. I w ten sposób zostaje pierwszym polskim żołnierzem, który "wkroczył" do miasta w 1944 roku.

Z relacji Stanisława Burzaka:

- Z ciężarówki wysiadłem w Wólce Lubelskiej i zacząłem iść w stronę ul. Krochmalnej. Mijałem okopane armaty i działa przeciwlotnicze. Ulice jednak należały do wiwatujących ludzi. Co chwilę podbiegał ktoś do mnie. Z bukietem kwiatów, z czekoladą, której nie oglądałem od czterech lat, kiełbasą, pełnym kielichem. Niedługo byłem już kołowaty. Całowali mnie nieznajomi, nieznajomych ściszałem i całowałem ja.

Ulica Piękna - tutaj biegałem jako szczeniak, tutaj mieszkałem do czasu wojny. Na rogu stała, jakby czekając na kogoś, samotna kobieta. Poznała mnie natychmiast. Do jakiegoś podpitego mężczyzny zawołała: "Panie, patrz pan, mój syn wrócił!". Ten tylko się obejrzał i poszedł dalej. Cóż można opowiedzieć o powitaniu? Matczysko wierzyło, że wrócę. Na duchu podtrzymywał ją sąsiad opowiadając, że tam na wschodzie, w kierunku mojej ucieczki, powstaje polskie wojsko.

Ojciec i brat ukrywali się pod Lublinem. Z matką pozostała tylko siostra, którą zostawiłem 14-letnią dziewczynką. Dziś witała mnie dorosła panna.

Gdy zaczęło się bombardowanie dworca, w obawie by nie zdmuchnęło naszego domku, schroniliśmy się u starszej siostry mieszkającej przy ul. Bychawskiej. Mogłem wreszcie zdjąć palące ogniem przyciasne buty, które dla większej parady pożyczyłem od kolegi. Matka pościeliła mi, znosząc kołdry i poduszki. Za miękko mi na nich było, ułożyłem się więc na podłodze. W nocy zbudziła nas strzelanina. Zapanował popłoch, obawiano się, że wrócili Niemcy. Okazało się jednak, że to tylko jakaś grupka niedobitków, pod osłoną ciemności, usiłowała przedrzeć się przez miasto. Trafili pod lufy Rosjan. Następnego dnia odnalazłem swoją baterię pod Dęblinem. Przywiezionej wódki i zagrychy nie starczyło na długo...

Na wieść o zajęciu przez Rosjan Lubartowa i pojawieniu się radzieckich szpic na przedpolach, do akcji przystąpiły miejscowe pododdziały Armii Krajowej. Jako pierwszy rozpoczął działania bojowe w rejonie Sławinka pluton "Merkurego" z IV rejonu AK, dowodzony przez ppor. Franciszka Filipowicza. Partyzanci zajęli pozycję przy trakcie warszawskim, atakując kierujące się na Warszawę niemieckie kolumny taborów.

Franciszka Filipowicza znałem - bo był mi wujkiem i opiekunem - przez wiele lat. Lecz cóż ja wiedziałem o jego konspiracyjnej robocie? Kombatanckie opowieści nie były w jego stylu. Dopiero, gdy o partyzanckich formacjach zaczęło się pisać i mówić "według alfabetu", a nie według politycznych zasług, w jednym z opracowań lubelskich historyków trafiłem na fragment, dotyczący właśnie działań plutonu "Merkurego". Idąc tym tropem złożyłem jego wojenną biografię.

Po kampanii wrześniowej wrócił do biurka w Urzędzie Opłat Stemplowych. W 1941 roku został współredaktorem biuletynu ZWZ, a później AK, pt. "Wojewódzki Dziennik Radiowy". Zespołem kierował Wacław Gralewski. Krajowe wiadomości pochodziły z nasłuchu, lokalne z własnych obserwacji. Opis likwidacji lubelskiego getta ma wartość dokumentu, Filipowicz był bowiem tego świadkiem. Tak jak i pacyfikacji wsi w powiatach: janowskim, biłgorajskim, zamojskim. Gdy przychodziła wiadomość o mających tam miejsce wysiedleniach, wsiadał na rower i jechał z oficjalnym poleceniem skontrolowania wpływu "stemplowych" składek. A gdy Niemcy odkryli konspiracyjną drukarnię przy ul. Lubartowskiej, kilkustronicowy biuletyn powielał we własnym mieszkaniu przy ul. Niecałej 10, w którym miał za sublokatora Niemca z feldżandarmerii.

W grudniu czterdziestego trzeciego, po złożeniu żołnierskiej przysięgi, Franciszek Filipowicz przejął komendę nad II plutonem IV rejonu AK. Teren działania plutonu obejmował najbardziej "niemiecką" część Lublina, ulice: Radziwiłłowską, Staszica, 3 Maja, Pierackiego i Spokojną. Ludzie "Merkurego" śledzili ruchy przemieszczających się wojsk i licznej tu żandarmerii, rejestrowali poczynania władz niemieckich, prowadzili inwigilację. Działania te przyniosły konkretne rezultaty. Łączniczka II plutonu Anna Gadomska oraz jej siostra - Emilia, pracownice poczty przy Krakowskim Przedmieściu, przejmowały listy-donosy adresowane do gestapo, a zawierające imienne oskarżenia o posiadanie broni, o wrogość do Rzeszy. Prawdopodobnie w nieświadomości groźby, jaka wisiała nad nimi, żyło i być może żyje do dziś wiele osób, których ocalili wówczas ludzie "Merkurego".

Do bitwy o Lublin garnizon AK przygotowywał się od kilku miesięcy. Z myślą o przyszłych walkach Filipowicz zorganizował z pracowników pogotowia ratunkowego drużynę sanitarną, na czele której stanął kierowca - Julian Krzywicki. Tymczasem zwożono karetkami do konspiracyjnych punktów broń kupowaną od Ukraińców pozostających w służbie niemieckiej oraz sprzęt wojskowy "organizowany" w inny sposób. Na konspiracyjnych zebraniach rozpracowywano warianty akcji "Burza", z których pierwszy przewidywał walki wewnątrz miasta, a drugi - wyjście poza Lublin i atak z zewnątrz. Życie już wkrótce przynieść miało rozstrzygnięcia, których mało kto się spodziewał.

22 lipca, w późnych godzinach popołudniowych, część wojsk niemieckich, które wcześniej ewakuowały się w popłochu, wróciła do Lublina. Niemcy zarządzili alarm i podjęli obronę miasta. Pierwsza linia obrony, zewnętrzna, składająca się z transzei i bunkrów, osłonięta zasiekami i polami minowymi, znajdowała się na przedpolach Lublina. Druga wewnątrz miasta i graniczyła z rzeką Bystrzycą, śródmieściem i Starym Miastem. Na ulicach przygotowano zapory przeciwczołgowe i barykady, wiele budynków przekształcono w umocnione punkty oporu. Na czele załogi, liczącej ok. 4300 ludzi stanął gen. lejtn. Hjalmar Moser. Tymczasem w nocy z 22 na 23 lipca wojska radzieckie podciągnęły główne siły pod Lublin i przystąpiły do ataku na miasto.

Do szczególnie zaciętych walk doszło na ul. Lubartowskiej, gdzie radzieckie czołgi poniosły ciężkie straty. Został tu ciężko ranny dowódca 2 Armii Pancerniej gen. płk Siemion Bogdanow. Do zaciętych walk doszło także m.in. na pl. Łokietka i ul. Królewskiej. Kiedy radzieckie czołgi usiłowały wdrzeć się do Lublina, od północy oddziały AK zaatakowały ważniejsze obiekty w śródmieściu. Walczono w rejonie

wieży ciśnień, dworca kolejowego, gazowni i cukrowni.

Z relacji Franciszka Filipowicza:

- W sobotę, 22 lipca, w godzinach popołudniowych, dowódca mojego rejonu, Poleszuk, zarządził u siebie w mieszkaniu, przy ul. Zamojskiej, krótką odprawę. Poinformował o zbliżaniu się Rosjan, o czym i tak było wiadomo, oraz rozkazał stawienie się w punktach mobilizacyjnych i przystępowanie do działań. Rowerem chciałem dojechać do plutonu oczekującego mnie na Sławinku. Okazało się to niemożliwe. Ulice wypełnione były cywilami i niemieckim wojskiem będącym w odwrocie.

Cywile kierowali się na szosę warszawską, a wojsko - w stronę Kraśnika. Oficerowie, z bronią w rękę, usiłowali kierować ruchem ciągników gaśnicowych, samochodów, furmanek. Podniecenie graniczyło z paniką. Ponieważ od strony północnej do Jastkowa dotarła już sowiecka czołówka pancerna, wystąpiłem łącznika z prośbą o kontakt i wsparcie. Po pewnym czasie, na tzw. drugiej górze sławinkowskiej, pojawiły się trzy czołgi. Naprzeciw znalazła się kolumna ewakuujących się Niemców i volksdeutschów z różnorodnym majątkiem zrabowanym w Lublinie i dystrykcie lubelskim. Salwa z dział i seria z broni maszynowej rozbiły w puch tę kolumnę. Poderwałem pluton oczekujący dotąd w zbożu,. Tabory zaczęły płonąć. Podjęliśmy walkę ze stawiającymi opór, poddających się braliśmy do niewoli.

- Nazajutrz, 23 lipca, usiłowaliśmy zagrozić drogę silnemu oddziałowi niemieckiemu zbliżającemu się od strony Czechowa. Do wymiany ognia doszło, gdy zatrzymali się przy rozebranych przez nas moście na Czerniejówce. Ale co znaczyło moich dwudziestu paru ludzi wobec ich masy. W dodatku przykryli nas ogniem dział, granatników, broni maszynowej. Przeskoczyliśmy na drugą stronę szosy warszawskiej. Gdy Niemcy znaleźli się na jej nasypie stali się łatwiejszym celem dla naszych pistoletów i karabinów. A wkrótce byli już pod ogniem sowieckich czołgów. Niebawem nawiązaliśmy oficjalny kontakt z wspierającą nas tak skutecznie sowiecką czołówką. Jej dowódcą był major Gurenko, Białorusin, z domieszką polskiej krwi. Wspólnie już wzięliśmy udział w walkach w zachodniej części Lublina.

- W poniedziałek, 24 lipca, doszliśmy do ul. Piłsudskiego, pod koszary SS. Niemcy bronili się zajadle z piwnic zamienionych w bunkry. Ale gdy rosyjscy czołgiści posłali po parę pocisków, a my poprawiliśmy granatami, było już po wszystkim...

24 lipca, po całodziennych zaciętych bojach w różnych częściach miasta, ok. godz. 23.30, Lublin został opanowany przez wojska radzieckie i oddziały Armii Krajowej. Komunikat dowództwa Armii Radzieckiej podawał: "Wojska I Frontu Białoruskiego I...! opanowały miasto i wielki węzeł kolejowy Lublin". Do niewoli wzięto 2228 żołnierzy Wehrmachtu z dowódcą obrony gen. H. Moserem.

Po zbombardowaniu Lublina przez samoloty radzieckie 11 maja 1944 r. Zygmunt Budzyński, w obawie przed zbliżającym się frontem, odwiózł żonę z miesięcznym synem do leśniczówki koło Niemiec. W powrotnej drodze zatrzymany został przez patrol feldżandarmerii. Wyjął auswajs, a na pytanie o zawód podał - elektryk. W odpowiedzi usłyszał: "To bardzo dobrze, będziesz u nas pracować".

Sytuacja Budzyńskiego - organizatora przedwojennych robotniczych majówek i sportowca w jednej postaci - była na ten czas skomplikowana. Po powrocie z frontu

reperował w HKP niemieckie samochody i motocykle, a gdy nie patrzono mu na ręce dziurawił baki, rozregulowywał rozruszniki, zamiast sprawnej części montował szmelc. Ostrzeżony o zamiarze ewakuacji z Lublina jego firmy, nie stawiał się pewnego dnia do roboty.

W parę dni później spotkany na ulicy Ryszard Postowicz, znany mu jako "Murzyn" z Gwardii Ludowej, przyobiecał mu protekcję u komendanta Miejskiej Zawodowej Straży Ogniowej. Zatrudnienie odbyło się tylko "na gębę", czyli Budzyński faktycznie nadal był bez pracy. Ale dowieziony do warsztatów feldżandarmerii przedstawił się oficerowi jako strażak -kierowca. W telefonicznej rozmowie sprawdzającej prawdziwość tych słów, komendant miejskiej straży Adolf Galant przytomnie potwierdza fakt zatrudnienia. Po chwili Niemiec komunikuje osłupiałemu Budzyńskiemu: "Dobrze, będziesz pracować i w straży, i u nas. Bardzo nam trzeba elektryków...".

21 lipca Zygmunt Budzyński po raz ostatni zameldował się w niemieckich warsztatach przy Wieniawskiej, majstrując przy maszynach gotowych do ewakuacji. Nazajutrz zaś strażackim samochodem podjechał pod Zamek.

Opowiada:

- 22 lipca miałem służbę w straży. "Coś dziwnego dzieje się na Zamku" - powiedział któryś z naszych. Polecenie wyjazdu otrzymała załoga pierwszego wozu, potem drugiego. Przyszła kolej i na trzeci, czyli mój. To, co tam zobaczyłem, stoi mi przed oczami do dziś. Do strażackich samochodów wnoszono trupy ludzi - było ich około 350 - pomordowanych przez szykujących się do ucieczki Niemców. Wszedłem do celi nr 17. Stos ciał, z samego brzegu leżał mój sąsiad ze Skibińskiej, pan Dudziak... Nie, to zbyt makabryczne, by o tym opowiadać.

Po chwili jednak mówi dalej:

- Wróciłem do samochodu. Na ławkach, na których siedzą strażacy jadący do pożaru, leżały poukładane zwłoki. Podjechałem pod skarpe zamkową, gdzie była już przygotowana wspólna mogiła.

- Radość i euforia kolejnych dni - ciągnie Budzyński - przestłoniły nieco te dramatyczne przeżycia. Wszystko w Lublinie było w ciągłym ruchu. Przemieszczało się wojsko, ludzie wylegali na ulice. Jedni wiwatowali, inni rabowali z rozbitych sklepów i magazynów. Właściciele wracali do mieszkań, z których wyrzucili ich Niemcy.

Pamiętam, że 23 lipca, pod frontowym ostrzałem, oczyszczaliśmy Lublin z ludzkich trupów, padniętych koni, rozbitego sprzętu wojskowego. Ale pierwszą rzeczą było nie dopuścić do rozprzestrzenienia się ognia.

Bo paliło się w wielu miejscach, szczególnie na Starym Mieście, Lubartowskiej, Szopena, Hipotecznej. Płonęły wielkie składy z żywnością przy ul. Spółdzielczej. Tam szczególnie widziało się, jak jedni gasili, drudzy kradli, choć wszystko to było już polskie, nasze...

Pułkownik Anatolij A. Nikolski w czasie wojny był już doświadczonym, kadrowym oficerem Armii Czerwonej. Przerzucony do pracy agenturalnej na teren Lubelszczyzny, koordynował tu współdziałanie oddziałów partyzanckich polskich i radzieckich. Chodziło głównie o to, aby uniknąć wzajemnych waśni, potyczek i utraty sił.

Moskwa, ul. Rybałko 11. Mieszkanie, jak tysiące innych w tym mieście. Ale meble dobrane tak, by były wygodne i praktyczne. Sporo książek, trochę rodzinnych pamiątek i bibelotów. W fotelu, z kieliszkiem domowej nalewki w ręku, słusznej postury mężczyzna. Dziś generał major Anatolij A. Nikolski. Zna wagę słowa, a przy tym umie opowiadać:

- W życiu człowieka 40 lat to szmat czasu. Wymazały one z mojej pamięci wiele faktów związanych z walkami, zatarły obraz wielu towarzyszy. Ale też jak w kalejdoskopie przemykały twarze, zmieniały się polskie wsie i miasta. Tylko niezapomnianym na całe życie pozostało wrażenie wielkiej radości i święta Polaków na całym szlaku marszu naszych wojsk. Zwycięskiego marszu.

- W stronę naszych wyciągały się ręce z bukietami kwiatów, owocami, mlekiem, pierogami, bimbrem. Cudów zręczności dokazywać musieli mechanicy-kierowcy czołgów, żeby przypadkiem nie najechać na kogoś z wiwatującego tłumu...

Gospodarz milknie, ale po chwili kontynuuje przerwany wątek:

- To czego nigdy nie zapomnę, to Majdanek. Jeszcze przed Lublinem, po drodze, spotykałem tłumy ludzi w obozowych pasiakach. Byli to więźniowie oswobodzeni przez nacierające wojsko. A właściwie cienie ludzi, żywe szkielety. Wielu z nich było prowadzonych pod ręce przez mających więcej sił współtowarzyszy. Najbardziej słabych ładowano na furmanki.

Dowiedziałem się, że kilku tysięcy uwięzionych Niemcy nie zdążyli zgładzić przed swoją ucieczką z obozu. Tak szybko nacierały nasze oddziały. Teraz, tych na wpół umarłych ludzi, wieziono i przewożono do szpitali, by przywrócić ich do życia.

Weszliśmy na teren obozu. Niemieckie fabryki śmierci były nam znane już wcześniej. Jednak to, co zobaczyliśmy tutaj, wstrząsnęło nami do głębi. Krematorium z niedopalonymi trupami, piece były jeszcze ciepłe, a ziemia wokół nich, aż do kolan, pokryta była popiołem ze spalonych ciał. Komory gazowe wypełnione trupami. Baraki z górą butów, dużych i małych dzieciennych. Setki bel z kobiecych włosów. Trupy w barakach, na placu apelowym, w "lazarecie". Oprawcy, choć się starali, nie zdążyli zatrzeć śladów morderstw dokonywanych latami.

- Udało się ująć sześciu Niemców, obozowych wartowników. Przekazani zostali sądowi Wojska Polskiego. Rozprawa odbyła się wkrótce w lubelskim Domu Żołnierza. Byłem na tym procesie. Nienawiść mieszkańców Lublina do oprawców była tak wielka, że do konwojowania więźniów z Zamku do sądu, trzeba było wystawić kompanię żołnierzy. Żeby powstrzymać ludzi próbujących bez sądu rozprawić się z esesmanami grozili bronią, a nawet strzelali w powietrze. Dla mnie ta zawziętość lublinian była w pełni zrozumiała. Prawie każda rodzina straciła kogoś na Majdanku. Opowiadano mi, że przy wyprowadzaniu więźniów do pracy, wielu z nich padało z wycieńczenia i wyczerpania. Dobijano ich wtedy strzałem lub uderzeniem kolbą. Na miejsce zabitych, w celu uzupełnienia "ubytku", łapano po drodze pierwszych napotkanych Polaków i włączano ich do kolumny więźniów. Nie zwracając uwagi, że liczni mieli dokumenty wydane przez władze niemieckie. Argument był jeden: "Wszyscy Polacy - wrogami wielkiej Rzeszy. Im szybciej będą zniszczeni, tym lepiej".

- Proces oprawców Majdanka trwał kilka dni. Ukazał on straszny, potworny obraz planowego i masowego wyniszczenia ludzi. Jeden z oskarżonych, podoficer SS w

starszym wieku, który wcześniej brał udział w mordowaniu Żydów w Kijowie, na pytanie prokuratora: czy wśród zamordowanych były również kobiety, dzieci, starcy - odpowiedział twierdząco. Jak wykazano na procesie, każdy z oskarżonych osobiście pozbawił życia wielu ludzi, z własnej inicjatywy. Uwięzionych topili w basenie wpychając ich widłami pod wodę, wykorzystywali w charakterze tarcz strzeleckich, szczuli psami, zabijali tłukąc pałkami. Każdy wartownik miał prawo karać śmiercią i darować winę, ale z tego ostatniego prawa nikt z tych potworów, bestii w ludzkim ciele, nie korzystał.

Wstrząsające były wystąpienia na procesie świadków oskarżenia byłych więźniów obozu dosłownie na kilka minut przed śmiercią. Jeden z nich, nie mogąc dłużej znieść potwornej egzystencji obozowej, na dzień przed przybyciem naszych wojsk, próbował zakończyć życie.. podcinając sobie gardło naostrzonym kawałkiem żelaza - mówi cichnym głosem Nikolski.

I dodaje:

- Zabrakło mu jednak sił i zadał sobie tylko straszną ranę. Koledzy ukryli go w "lazarecie", gdzie przebywał do czasu wyzwolenia. On też był obecny na procesie. Mówić nie mógł, ale sam jego wygląd wymownie świadczył nie tylko przeciwko tym sześciu zbrodniarzom, ale i przeciwko całemu systemowi faszystowskiego barbarzyństwa i okrucieństwa.

- Sąd skazał wszystkich oprawców na powieszenie. Jeden ze skazanych zdołał skończyć ze sobą w więzieniu. Pozostali zostali publicznie powieszani na placu apelowym na Majdanku. Na miejsce kaźni przybyły tłumy mieszkańców Lublina i okolicznych miejscowości. Kiedy jeden z żołnierzy założył zbrodniarzom stojącym na ciężarówce pętle na szyje, i ciężarówka powoli odjechała, zostawiwszy ich wijących się w przedśmiertelnym konwulsjach, rozległy się krzyki radości i burzliwe oklaski.

I kończy Nikolski:

- Wasz pisarz, Zbigniew Żałuski, którego książki cenię bardzo wysoko, napisał, że po wykonaniu wyroku zapanowała cisza. Nieprawda. Ja tam byłem.

Ludzie i tory

Wiedzieli o zbliżaniu się frontu. Ale że Lublin zostanie tak szybko zdobyty, tego nie spodziewał się nikt. Ani Niemcy, ani Polacy, ani nawet oni - lubelscy kolejarze, którzy przecież zawsze byli dobrze poinformowani. Bo maszyniści i konduktorzy przewozili nie tylko towary i ludzi...

- 22 lipca to była sobota - opowiada ówczesny dyżurny ruchu, Mieczysław Kowalczyk. To, co działo się wtedy na dworcu, trudne jest do opisanie. Wszystkie trzy tory zakorkowane pociągami z wojskiem i cywilami. W licznych składach - wagony pełne żywności, zrabowanych maszyn i urządzeń. Niemcy biegali po peronach, wrzeszczeli, grozili bronią. Chcieli jak najszybciej wyjechać z Lublina.

Mimo udawanego pośpiechu, pracowaliśmy jak najwolniej. Zator był już tak wielki, że ostatnie pociągi stały aż na Tatarach, gdy tymczasem z daleka dochodził już huk frontowych działań...

W kilka dni później na lubelskich ulicach rozlepiano ogłoszenia, wzywające kolejarzy do podjęcia pracy. Wracali, bo wzywała ojczyzna, bo nakazywał kolejarzki honor.

Lubelskim kolejarzom tamtych lat warto poświęcić oddzielną opowieść. Byłyby to sagi - sięgające nierzadko ubiegłego stulecia - rodzin: Świerczyńskich, Turczyńskich, Janiaków i Janików, Hołowińskich, Tarantowiczów, Pietrakiewiczów i wielu, wielu innych. W tej opowieści byłoby o solidarności i solidności, odwadze, patriotyzmie.

Niech przykładem będzie historia pewnego lubelskiego pociągu, którą usłyszałem od Józefa Jelenia, przedwojennego dyspozytora ruchu.

- Był 17 września 1939 r., ostatni dzień obrony Lublina. Miasto wymarło, jedynie na stacji panował gorączkowy ruch. To załoga węzła, która do ostatniego momentu nie opuszczała posterunków, przygotowywała się do ewakuacji. Zawiadowca, Józef Polit, zarządził zestawienie pociągu z wagonów osobowych i towarowych, te ostatnie - pod kolejowe mienie. W tym czasie ja, wraz z Romanem Kowalikiem, maszynistą parowozowni i warszawiakiem Ryszardem Gawrońskim, manewrowym parowozem forsowaliśmy zamkniętą na głucho bramę Okręgowej Składnicy Uzbrojenia. Po wyważeniu jej, zaczęliśmy ładować bezpieczną już broń maszynową i karabiny, skrzynie z amunicją i granatami. Z pociągu ewakuacyjnego dobiegały alarmujące sygnały, bo też pociski artyleryjskie nieprzyjaciela padały coraz bliżej i gęściej. Wreszcie ogień karabinów maszynowych dosięgnął i stacji.

- Do składu pociągu dołączono trzy wagony wypełnione uzbrojeniem. Potoczyły się koła... Na najbliższej stacji, a było to w Świdniku, broń rozdzielono pomiędzy kolejarzy. Po drodze wsiadło do wagonów około 100 żołnierzy, jeszcze w mundurach, lecz już bez broni. A poza nimi - wielu uchodźców cywilnych. Kolejarze zaproponowali żołnierzom przyjęcie posiadanej w nadmiarze broni. Bezskutecznie jednak...

- Pierwszym etapem ewakuacji miał być Chełm. Miał... Bowiem w drugim dniu podróży dojechaliśmy raptem do podlubelskich Biskupic. Pociąg zatrzymał się, bowiem na szynach leżały, ułożone w poprzek, podkłady kolejowe. Była to pułapka. Pociąg natychmiast ostrzelany został silnym ogniem karabinów maszynowych.

Odpowiedzią były serie z naszych wagonów. Na stanowiska Niemców poleciały też granaty.

Jednak w pociągu wybuchła panika. Nie tylko cywile, ale i żołnierze, rzucili się do ucieczki. Tylko nielicznym udało się dobiec do nieskoszonej jeszcze gryki. Gdy niemiecki ogień zaczął słabnąć, maszynista Antoni Sitkowski, powoli ruszył naprzód, zsuwając zagarniaczami parowozu przeszkody z szyn.

Postój w niedalekich Trawnikach miał trwać tylko tyle, by zabrać gotowych już do ewakuacji miejscowych ludzi. Ale okazało się, że jest to już koniec zamierzonej ucieczki na kresy. W kotle parowozu, podziurawionym pociskami i odłamkami, maszynista Sitkowski nie dał rady wytworzyć należytego ciśnienia pary. Wkrótce pociąg otoczyły niemieckie pancerniki.

Kolejarze, pod silną eskortą, zaprowadzeni zostali do majątku Stróże koło Biskupie. A mówiąc dokładniej - do tamtejszej stajni. Nocą dokonano na nich egzekucji. Według relacji mieszkańców Biskupic, w opisanej tu walce, z rąk lubelskich kolejarzy zginęło kilkudziesięciu hitlerowców. Okupanci zaś rozgłosili wieść o rozbiciu w Biskupicach 18 września 1939 roku polskiego wojskowego pociągu pancernego.

Wojenna historia lubelskiego węzła - jak ją opowiedzieć? Może przy pomocy ludzkich biografii.

Gdy 5 października 1939 Niemcy ogłosili nabór do pracy na kolei, wśród tych, którzy zgłosili się był też - znany już z powyższej opowieści - Józef Jeleń. Szczęśliwie udało mu się zbiec z niewoli. Ukrywał się potem, lecz doszedł do wniosku, że najbezpieczniej będzie z kolejarzką kenkartą. Po zaprezentowaniu swoich zawodowych kwalifikacji, został starszym dyżurnym nadzoru stacji. Za jego to sprawą powstała wśród kolejarzkiej braci organizacja konspiracyjna, najpierw Komenda Obrońców Polski /KOP/, przyłączona potem do ZWZ i wreszcie - AK. Zadanie pierwsze: sabotaż. Ku niemieckiej wściekłości, co i raz wykolejały się wagony i parowozy. A gdy następowało to na tzw. głowicy torów, nie było wyjazdu ze stacji w żadnym z kierunków.

W sierpniu 1941 Józef Jeleń, wprost ze służby, zabrany został nieoczekiwanie na przesłuchanie. Celnie postawione mu zarzuty dowodziły obecności u jego boku niemieckiego konfidenta. Sytuacja była bez wyjścia. Znikąd nie oczekiwał już ratunku. I wtedy, widząc co się dzieje, dwudziestoletnia Irena Zarzycka, pracownica działu osobowego, a jego łączniczka, wywołała nagle zamieszanie, stwarzając mu możliwość ucieczki. Zmyliwszy pogoń, wmieszał się w uliczny tłum. A potem długo nie wierzył własnemu szczęściu. Przez organizację skierowany został do Lubartowa. Tam, do końca wojny, był komendantem powiatowej dywersji.

Biografię drugą opowiedzmy, poczynając od lata roku trzydziestego dziewiątego. Wtedy to świeżo upieczony maturzysta lubelskiego liceum im. Staszica, Mieczysław Kowalczyk, tłumaczył rodzicom, dlaczego wybrał studia inżynierskie, a nie lekarskie. Wkrótce było to tak mało ważne. Brał udział w walkach o Lublin, a po zajęciu miasta przez Niemców, zgłosił się do pracy w centrali skór surowych. Znajomi pomogli i wkrótce już sprawdzał, czy kolejne sztuki nie mają dziur, przesypywał saletrą, układał w sztafle. A potem dźwigał do wagonu mającego odjechać do garbami. I taki był jego pierwszy kontakt z koleją.

W marcu 1940 otrzymał wezwanie do Arbeitsamtu, urzędu zatrudnienia. Zamierzał zalegalizować pracę przy skórach wykonywaną dotąd nieoficjalnie, albo prosić o

lepszą. Czekać go miało jednak co innego. Z kilkudziesięcioma innymi chłopakami pomaszerował do łaźni w fabryce Wolskiego. A potem na stację. Mieli bowiem jechać na roboty do Rzeszy.

Wiadomość o tym dotarła do pracującego w parowozowni pana Laskowskiego, ojca bliskiego kolegi Mietka, a teraz współtowarzysza tej samej niedoli. Nie tracąc rezonu podrzucił on obydwu chłopcom - na szczęście całą tę grupę pilnowało tylko dwóch policjantów - robocze kolejarskie ubrania. Znalazły się też rewidentckie młotki. Kamuflaż udał się. Gdy po chwili przechodzili koło swojej eskorty, jeden z policjantów zwrócił się do "rewidentów", czy nie wiedzą kiedy ma odjechać ich pociąg.

W niedługi czas potem do chłopców ukrywających się w jednej z podlubelskiej wsi, dotarła wiadomość: Przyjmują na kolej. Zgłosili się, zostali przyjęci. W czasie praktyki, którą odbywali kolejno w przechowalni bagażu, kasach, ekspedycji towarowej i na trasie, od jednego z instruktorów, Stefana Baciara słyszeli: "Chłopaki, trzeba się uczyć i polskich przepisów. Niemcy niedługo już będą wiać, a wy zostaniecie polskimi dyżurnymi..."

Ale tymczasem Kowalczyk, po zdanym egzaminie, został "niemieckim" dyżurnym ruchu. Przyjmując i odprawiając pociągi z podlubelskich stacji widział warszawiaków szmuglujących kaszę, mąkę, rąbankę. Był naocznym świadkiem niewolniczej pracy polskich więźniów budujących stację towarową na Wrotkowie. Z satysfakcją obserwował, jak ludzie z pociągu stojącego pod semaforem zabierają zboże zrabowane przez Niemców w Rosji. Był też niemy widzem dramatu, który rozgrywał się na stacji w Trawnikach.

Mówi:

- Przyjeżdżały tam pociągi z Belgii, Holandii, Francji, Czechosłowacji, także Niemiec - wiozące Żydów. Jeszcze przekonanych, że będą otwierać tu sklepy, przejmować majątki po Polakach, "którzy nie potrafią gospodarzyć". Cały konwój stanowiło dwóch, trzech policjantów. Niemcy nakazywali wysiąść, zostawić prowiant i bagaże, "które zostaną podwiezione samochodami".

Żydowski pasażerowie, ustawieni w kolumnę, maszerowali ufnie w stronę Bełżca, Sobiboru. Wagony z odzieżą i dobytkiem jechały wkrótce do Rzeszy, żywność wysyłano dla wojska.

Przez lubelski węzeł przejeżdżały też, nie zatrzymując się, pociągi wiozące żołnierzy, jak również wypełnione wojennym sprzętem. Zapowiedź takiego transportu przychodziła dalekopisem, do którego dostęp miał tylko zaufany Niemiec. Gdy jednak przyjął zaproszenie na piwo w stacyjnym bufecie, wkrótce do polskich rąk trafiał klucz do biurka, a droga do ważnej tajemnicy stała otworem. Kurierzy nieśli potem wiadomość o specjalnych pociągach m.in. do AK-owskiego oddziału "Nerwy", AL-owskiego "Murzyna". A potem skrywana radość, gdy dyspozytor ogłaszał niebawem, że szlak jest nieprzejezdny, aż do odwołania...

Pora powrócić już do wątku, którym zaczyna się ten reportaż. Czyli ostatnich godzin niemieckiego panowania w Lublinie, ostatnich godzin na lubelskich torach. Niech mówią świadkowie i bohaterowie tamtych dni.

Mieczysław Kowalczyk: - W sobotę, 22 lipca, przed północą, na ulicy Długiej, zobaczyłem pierwszych żołnierzy radzieckich. Jechali na takich małych konikach, prawie kucykach. Nie mogłem usiedzieć w domu. Wziąłem ćwiartkę spirytusu i pobiegłem do ojca, by wypić za to, że Lublin nareszcie wolny. Okazało się, że u ojca

kwateruje już pułkownik radziecki, pancerniak. Byli też jego żołnierze, chłopcy młodszy ode mnie. Pokazywali odznaczenia. Przygotowaliśmy coś do zjedzenia, postawiliśmy butelki, gość wyjął koniak, nawet francuski.

Rano pułkownik poprosił, żebym poprowadził jego patrol do mostu na Czerniejówce. Chcieli sprawdzić, czy nie jest zaminowany. Żołnierze dokładnie obejrżeli most. Nie, nie był zaminowany. Doszliśmy aż do stacji. Tam spotkaliśmy inny radziecki oddział. W śródmieściu, i w zachodniej części miasta, trwały jeszcze walki. Tu panował spokój. Gdy wróciliśmy do domu, przy zastawionym stole, obok Rosjan, siedziały sąsiadki, młode i ładne. Poproszony przez nie wyjąłem organki i zagrałem tango, zaczęły się tańce.

W poniedziałek rano poszedłem na dworzec. Pełno żołnierzy, ale byli też kolejarze. Jeden z nich, Jan Filipek, gdy mnie tylko dojrzał, powiedział: „Dobrze, że jesteś, bo szukają dyżurnego ruchu. Zgłoś się do komendanta wojskowego”. W chwilę później otrzymałem polecenie objęcia dyżuru. Miałem go pełnić - jak się okazało później - ponad trzydzieści godzin.

Józef Jeleń: - W Lublinie znalazłem się - po trzyletniej nieobecności - 24 lipca. Ulice miasta były zatarasowane wojskowym sprzętem. Leżały także zwłoki poległych żołnierzy hitlerowskich, trupy koni. Najpierw poszedłem na Zamek. Po wejściu na dziedziniec zobaczyłem poukładane, na pół nagie, szerniałe ciała pomordowanych więźniów. Wokół unosił się trudny do zniesienia fetor. Także i w celach więziennych, w kałużach zastygłej krwi, leżały setki zwłok. Wynosili je na dziedziniec jeńcy, SS-mani, dozorowani przez żołnierzy radzieckich. Masowo pojawiali się ludzie poszukujący wśród pomordowanych swoich najbliższych. Tragiczne było to moje spotkanie z Lublinem.

- Niespodziewanie na ul. 1 Maja natknąłem się na kolejarzy: inżyniera Stanisława Chłudzińskiego i Stanisława Marszyckiego. Serdecznie przywitaliśmy się. A kiedy już opowiedzieliśmy o swoich wojennych przeżyciach, inż. Chłudziński nieoczekiwanie oświadcza mi: "Pan musi się zająć stacją. Trzeba pilnie werbować załogę i obsadzić poszczególne posterunki, aby nie dopuścić do dewastacji i rozgrabienia tego, czego okupant nie zdążył wywieźć..."

Te słowa przyjąłem jako rozkaz i nazajutrz, 25 lipca, objąłem zarządzanie stacją.

- Budynek był prawie nie tknięty, ale tory stacyjne przedstawiały żałosny widok. Niemcy wywieźli prawie wszystkie urządzenia, ogołocili nastawnię. Wagony, które zostały, były zniszczone. Apel do kolejarzy o niezwłoczne zgłaszanie się do pracy nie pozostał bez echa. Wśród pierwszych, którzy stawili się byli - mianowani wkrótce moimi zastępcami - Zygmunt Bacior i Władysław Wroński, dyżurni ruchu - Mieczysław Kowalczyk i Edward Pietrkiewicz. Oczywiście, zgłosiło się wielu, wielu innych.

- Z początkiem sierpnia, wobec konieczności wprowadzenia bezprzeładunkowej komunikacji z ZSRR, w celu sprawnego zaopatrywania frontu, zaistniała konieczność przekucia torów, czyli poszerzenia ich prześwitu z 1435 do 1525 milimetrów. Do pracy tej stanęli obok żołnierzy radzieckich wszyscy pracownicy węzła oraz nowo powstałej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowej, nie wyłączając kobiet. Poza stacyjnymi, poszerzono też tory na odcinkach do Chełma i Łukowa.

Jan Marciniak: - Choć pracę podjąłem jako ślusarz, w warsztatach, przez pierwsze dni układałem tory przy parowozowni. Nie mieliśmy narzędzi, wszystko było zniszczone albo zrabowane przez okupanta. Praca była niewyobrażalnie ciężka, bo wykonywana nieomal gołymi rękami, lecz z ochotą. Toteż i efekty były widoczne.

Pamiętam, brakowało węgla do parowozów. Toteż inż. Świerczyński skonstruował maszynę, która rozbijała pnie drewna na szczapy. Pracowało się w dzień i w nocy. A że był zakaz poruszania się w nocy, otrzymałem przepustkę. Taki był właśnie mój pierwszy dokument pracy na kolei.

Józef Jeleń: - Stacja coraz bardziej stawała się przydatna do prowadzenia ruchu. Zbieraliśmy wagony stojące po małych stacyjkach i bocznicach. Uszkodzone zostały wyremontowano. I - jak wynika z moich, przechowywanych do dziś zapisków - "pierwszy pociąg towarowy, po torze normalnym, odprawiono do Puław 5 sierpnia 1944 r., w składzie 15 wagonów, załadowanych na bocznicy Wojskowego Zakładu Żywnościowego, celem zaopatrzenia frontu".

- 13 sierpnia mieliśmy pierwszy pociąg osobowy od strony Rozwadowa, po torze normalnym. To było już prawdziwe święto. Natomiast 17 sierpnia wznowiono ruch pociągów na przekutym na prześwit 1525 mm torze do Łukowa, i dalej do Siedlec.

Mieczysław Kowalczyk: - Zanim ruszyły pociągi, trzeba było dokonać jeszcze jednej operacji. Otóż rozchodziły się pogłoski, że 52 tor, przy peronie pierwszym, jest podminowany. Sprawdziłem to, przejeżdżając lokomotywą z tendrem odwróconym do przodu. Nie było min. I na ten właśnie tor przyjechał pierwszy pociąg z Rozwadowa, z wagonami osobowymi. Natomiast w składzie kursującym do Łukowa, znajdowały się wagony towarowe, które wyposażyliśmy w ławki, wieszaki i to, co podróżnemu potrzebne. Pociągi te kursowały raz na dobę.

- Do czasu sforsowania Wisły dojazd do Dębłina był niemożliwy, a do Puław niebezpieczny, gdyż Niemcy zobaczywszy dym parowozu, otwierali ogień zza Wisły.

Jan Adamski: - Do końca życia zapamiętam, że jako dyżurny ruchu w Gołębiu pilotowałem radziecki pociąg złożony z wagonów-platform, załadowanych dłużycą przeznaczoną na odbudowę mostu na Wiśle.

Jechaliśmy nocą, w pełnej ciszy. Od czasu do czasu, rozlegały się pojedyncze strzały, widać było rakiety oświetlające lewy brzeg Wisły. Do momentu dojechania do miejsca rozładunku nic się nie wydarzyło. Dopiero gdy kłoc z łoskotem zaczęły spadać z platform i toczyć się z wysokiego nasypu, Niemcy otworzyli huraganowy ogień. Wtedy maszynista porwał mnie, 22-letniego chłopaka, jak piórko i wepchnął pod tender. Schroniła się tam również cała załoga parowozu. Żołnierze, mimo ostrzału, nie zaprzestali rozładunku.

Krystian Janiak: - Prowadzenie parowozu tuż po wyzwoleniu było szczytem umiejętności. Węgiel, w niewielkich tylko ilościach, przychodził z Donbasu. Był to węgiel wysokokaloryczny, koksujący. Toteż po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów należało czyścić palenisko ze szlaki. A gdy nie było węgla, a przy tym zabrakło drewna, maszynista brał piłę, siekierę i szedł do najbliższego lasu. Jeśli nie wygasił całkiem parowozu, to było jego szczęście. Ale gdy musiał rozpalać mokrym drewnem, to już nie było mu czego zazdrościć.

Jan Marciniak: - Przez pierwsze miesiące kolejarze otrzymywali wynagrodzenie w postaci drożdży, czasami dostawaliśmy tłuszcz, kaszę. Wszyscy byliśmy wygłodzeni. Toteż związki zawodowe, które powstały dość szybko, zatroszczyły się o otwarcie stołówek, sklepów. W ówczesnym Lublinie kolejarze odgrywali ważną rolę w gospodarce, a i polityce. Przewodzili w PPR i PPS, byli w PKWN. Wielu z nas

wyjeżdżało na wieś prowadzić działalność wyjaśniającą, parcelować majątki pofolwarczne, a czasami odebrać kolejową własność, która znalazła się w chłopskiej stodole.

Józef Jeleń: - Odwiedzali nas przedstawiciele najwyższych władz. Spotkania odbywały się przeważnie na terenie parowozowni, gdyż tam znajdował się taki duży plac. Jako gospodarz stacji podejmowałem Bolesława Bieruta, Edwarda Osóbkę - Morawskiego, Bolesława Drobnera i innych. Wyjaśniali to, co nastąpiło, mówili o tym, jaka ma być przyszła Polska.

Ludzie reagowali różnie - jedni popierali entuzjastycznie, inni odnosili się z rezerwą, albo i nieufnością. Bo wszystko to, o czym słyszeliśmy, było nowe i niewiadome. Ale jednoczyła nas radość z odzyskanej wolności, świadomość, że jesteśmy wreszcie na swoim. I u siebie.

Ślubowali morzu w Lublinie

Spośród tych paru setek chłopów, oczekujących rozkazu wymarszu nad Bałtyk, garstka zaledwie służyła wcześniej na jakimś okręcie, a większość nigdy w życiu nie widziała morza. Ale o morzu rozprawiali wszyscy. Śpiewali też o nim maszerując daleką od morza, ale wolną już lubelską ulicą.

Marynarze z morskiego batalionu. Niczym szczególnym nie wyróżniali się wśród mrowia żołnierzy stacjonujących jesienią czterdziestego czwartego w Lublinie. Swoją powinność wobec dalekiego - w niemieckim jeszcze władaniu - Bałtyku, pełnili w zielonych mundurach piechoty i cywilnych ubraniach. Tylko piosenkę śpiewali inną:

Już sygnał podnoszą na linie
Z komina już wali dym
Nasz "Wicher" wesoło nam płynie
A wszystkie okręty za nim...

Ale gdy do batalionu z lasów dotarł Antoni Golinowski, przytaszczył z sobą, szczęśliwie przechowany przez wojnę, uniform bosmanmata. I dla tego munduru, bo nie dla wzrostu, miał zawsze miejsce w pierwszej czwórce. Wtedy już wiadomo było, co to za formacja idzie. I nikogo z przypadkowych widzów nie dziwiła piosenka o dziewczynie w sukience liliowej jak bez, wypatrującej za ginącym okrętem, uwożącym jej ukochanego.

Jeden mundur, parę piosenek - ot, i cała spuścizna jaką otrzymali po dawnych latach ci, którzy sposobili się do objęcia strażnic nad Bałtykiem. Batalion Morski, załazek dzisiejszej Polskiej Marynarki Wojennej, ma swojego dziejopisa. Historię formacji składam więc z faktów wygrzebanych w archiwum Marynarki Wojennej /w tym: W. Radziszewski "Marynarka Wojenna w latach 1945-1949"/.

Ale pukam też do mieszkań w Gdyni i Gdańsku, do ludzi, którzy przed laty w Lublinie zaczęli swój marsz nad Bałtyk. W miarę lektury i z upływem kolejnych rozmów, ożywa niepowtarzalny klimat i atmosfera tamtych dni. Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego, jeszcze w trakcie wojennych działań, widziało konieczność posiadania jednostki, której zadaniem nie byłaby bezpośrednia walka z wrogiem, lecz zajęcie wyzwolonych portów morskich, zabezpieczenie znajdujących się tam obiektów przemysłowych, wojskowych i urzędów portowych, a przede wszystkim - przygotowanie podstawowych kadr do "morskich" zadań. Jednostką tą miał być I Zapasowy Pułk Morski, w sile około dwu tysięcy ludzi.

W ówczesnych warunkach nie było jednak możliwości obsadzenia etatowych stanowisk specjalistami morskimi, nie było też celowe oderwanie tylu ludzi od pierwszoplanowych przecież działań na froncie. Zaniechano więc zamiaru formowania pułku, redukując mającą powstać jednostkę do rozmiarów batalionu.

29 października 1944 roku, naczelny dowódca Wojska Polskiego, gen. broni Michał Rola-Żymierski, podpisał rozkaz polecający do 15 listopada tegoż roku, sformować Zapasowy Batalion Morski. Dowódcy armii oraz samodzielnych związków i jednostek otrzymali polecenie odkomenderowania do batalionu wszystkich specjalistów Marynarki Wojennej i Handlowej. A że na terenie Lubelszczyzny, jak i w całym wojsku polskim było ich - co zrozumiałe - niewiele, liczone na napływ marynarzy z floty

Związku Radzieckiego. Dowództwo batalionu objął jeden z nielicznych w Ludowym Wojsku Polskim oficerów przedwojennej Polskiej Marynarki Wojennej - kmdr por. Karol Kopiec.

Barak na Majdanku - pierwsze lokum formującej się jednostki - zapełniał się zrazu powoli. Działania ofensywne na froncie miały się zacząć w najbliższych tygodniach. Jaki dowódca w takiej sytuacji odda chętnie żołnierza, zwłaszcza specjalistę. O niektórych oficerów komandor Kopiec prowadził długotrwałe targi z ich przełożonymi. A maszynistkę, niezbędną w tak dużej jednostce, formalnie... kupił. Było to tak. Dziewczyna bardzo chciała przejść do batalionu morskigo, ale dowódca pułku /9 Zapasowy Pułk Piechoty/ nie myślał nawet o jej oddaniu. Nie muszę, nie jest przecież marynarzem - zbijał wszystkie argumenty. Po długich targach zgodził się wymienić ją za... maszynę do pisania. Kopiec, wspominając tę scenę, dodaje filuternie: "Transakcja została szczęśliwie sfinalizowana, on dostał maszynę, a ona "przystąpiła" do marynarki. Przypuszczam, że magnesem dla niej była nie tylko miłość do morza..."

Różnymi drogami wędrowali do majdankowego baraku, pierwszej bazy batalionu. Mieli za sobą tragiczną pamięć wojny, a teraz pragnienie dojścia nad Bałtyk, objęcia go w gospodarskie władanie. Kim byli?

Oto kapitan marynarki, Władysław Trzeciński. We wrześniu trzydziestego dziewiątego bronił Oksywiu. Zarządzał magazynem amunicji. Niemieckie armaty dzień po dniu wstrzeliwały się w ten punkt. Wspomina dzisiaj jeden z epizodów:

- Nagle w ogniu stanęła rampa. Obok stał wózek załadowany zapalnikami do dział przeciwlotniczych. Skrzynki zaczynały już smażyć się od żaru. Wyskoczyłem z okopu i zawołałem ochotnika, który pomógłby mi odciągnąć wózek w bezpieczne miejsce. Bez chwili wahania zgłosił się mat rezerwy Kazimierz Dogil. Gałęziami gasiliśmy tłące się skrzynki. Niebawem zapalniki znalazły się przy działach...

Mówi teraz, widząc podziw w moich oczach:

- Tylko niech pan nie próbuje ze mnie robić bohatera. Bohaterowie nie żyją. Jasne? Walczyliśmy do 19 września. Wieczornego natarcia już nie przetrzymaliśmy... Dziwili się Niemcy potem, że mieliśmy tylko tyłu ludzi, tak mało dział. Ci z Niemców, którzy walczyli z nami, okazywali nawet szacunek. Ale potem zmienili ich inni, zaczęło być bardzo źle.

- Może to będzie naiwne, co teraz powiem. Ale niech pan postara się zrozumieć i opisz po swojemu. Do oflagu docierały wiadomości o niemieckich zwycięstwach, w końcu o naszej, przegranej wojnie. I w jakiejś takiej ciężkiej chwili stanął mi przed oczami obraz z Oksywiu: zastygły trup marynarza z przyciśniętym karabinem. Szykował się widać do skoku, kiedy dosięgła go kula. I został niczym pomnik, który mówi, że walka nie skończona, że nadejdzie czas, gdy znów się poderwiemy...

Leon i Władysław Doroszewscy, synowie kowala z Ostrowa Lubelskiego, w swojej wojennej biografii mają wpisaną przynależność do Batalionów Chłopskich, później do Armii Ludowej. Byli w partyzanckim garnizonie dowodzonego przez Zygmunta Goławskiego, ps. "Niwa". Lasy parczewskie, janowskie, Puszcza Solska - te nazwy, w odniesieniu do czasu ich walk, mówią same za siebie.

- Przez pewien czas - wspomina Leon Doroszewski - byłem w składzie tzw. grupy zrzutowej. Przy pomocy prymitywnej radiostacji lekarstwa nawiązywaliśmy kontakt ze sztabem Związku Patriotów Polskich w Związku Radzieckim. Ustalane było miejsce

zrzutu, sygnały. Bywały noce, że przyjmowaliśmy sto i więcej worków zawierających uzbrojenie, materiały wybuchowe przeznaczone do wysadzania pociągów, lekarstwa. Armia Radziecka dotarła do nas niemal w ostatniej chwili. Byliśmy okrążeni przez Niemców w lasach parczewskich. Oswobodzenia nie doczekał mój pierwszy dowódca - Goławski. Zginął on i jego żona.

- Mój brat, Władysław, otrzymał skierowanie do Batalionu Morskiego, służył bowiem w marynarce przed wojną. Zgłosiłem się do tej jednostki i ja. Razem przeżyliśmy wojnę, nijak teraz byłoby się rozstawać. A i kusiło mnie to nie widziane jeszcze morze...

Zastępcą dowódcy batalionu do spraw polityczno-wychowawczych mianowano ppor. Henryka Malinowskiego, Polaka urodzonego w Związku Radzieckim, poprzednio korespondenta gazety Armii Polskiej. Na stanowisko zastępcy dowódcy do spraw morskich powołany został, wspomniany wyżej, kpt. mar. Władysław Trzeciński, a na stanowisko zastępcy do spraw lądowych - Polak, dotąd marynarz radzieckiej floty Oceanu Spokojnego, mjr Tadeusz Klimczak. Skierowany do batalionu oficer radziecki, por. Mikołaj Zacharow, objął stanowisko zastępcy dowódcy do spraw gospodarczych i jednocześnie szefa służby kwatermistrzowskiej. Na czele sztabu batalionu stanął por. Robert Mietelica, Polak z pochodzenia, oficer radzieckiej floty handlowej Oceanu Spokojnego.

W miarę przybywania marynarzy do batalionu, robiło się ciasno w prymitywnym baraku. Czas już było przy tym rozpocząć szkolenie. Ale na to nie było warunków na Majdanku. Ostatecznie, marynarzom przypadł w udziale budynek, z przyległościami, na terenie koszar byłego 8 Pułku Piechoty Legionów. Świadczy to o dużych względach w naczelnym dowództwie, jako że sytuacja lokalowa stanowiła wówczas w Lublinie problem nie lada.

- Ale i na nowych śmieciach mówi Leon Doroszewski - panowały warunki czasu wojny. Kilkupiętrowe prycze były wyścielone słomą. Brakowało koców, bielizny, pościeli. Trudno było utrzymać nie tylko porządek, higienę, lecz i dyscyplinę.

- Rozpoczęło się szkolenie. Bez eksponatów poglądowych, bez podręczników. We własnym zakresie wykonane zostały schematy podstawowych urządzeń, mechanizmów i uzbrojenia okrętowego. A praktyczną naukę kompania techniczna odbywała w lubelskiej elektrowni, w fabryce drożdży, w cukrowni, w cegielni nawet. Kompania pokładowa poznawała natomiast zasady semaforu ręcznego, flagi sygnałowe, wiązała węzły, teoretycznie poznawała okręt.

Ćwiczący kompanię desantową szczególny nacisk kładli na wyszkolenie bojowe, szermierkę, grenadierkę, musztrę. A nadto zaznajamiano marynarzy z sytuacją na froncie, z podstawami społeczno-gospodarczych przemian, jakie dokonać się miały w wyzwolonym kraju. Wyjaśniano historyczne prawo Polski do szerokiego dostępu do morza.

We wspomnieniach dowódcy batalionu kmdr por. Karola Kopca /zmarł w 1969 r./, przechowywanych w archiwum Marynarki Wojennej, znajduje się, wart przytoczenia, fragment mówiący o stosunku lublinian do marynarzy, a także spraw morza. Oto co pisał: "Na terenie Lublina, po wyzwoleniu, została reaktywowana organizacja - Liga Morska. Działacz społeczny i przedstawiciel ligi ob. Skwarek zaprosił mnie dwukrotnie na zebranie, gdzie wygłosiłem krótkie "morskie" przemówienie. W ten sposób nawiązany został kontakt ze społeczeństwem cywilnym. A społeczeństwo cywilne

przybliżyło się do idei morskiej. Sympatia, jaką cieszyliśmy się w Lublinie, znalazła swój wyraz podczas świąt Bożego Narodzenia w 1944 roku. Marynarze otrzymali podarki gwiazdkowe od społeczeństwa przez Ligę Morską. My zaś ze swej strony zaprosiliśmy przedstawicieli ligi do batalionu na wieczór wigilijny. /.../ Nastrój był miły i serdeczny, zwłaszcza, że były to pierwsze święta w wyzwolonej ojczyźnie.

Mówiąc o przyjaznym stosunku społeczeństwa cywilnego do nas, nie mogę pominąć pewnego szczegółu, ilustrującego ten stosunek. Pewien obywatel Lublina /nazwiska nie pamiętam/ widząc mnie chodzącego piechotą na Majdanek i z powrotem, ofiarował mi swój samochód osobowy marki "Tatra", dwucylindrowy. Samochód wprawdzie był stary i wymagał troskliwej opieki, lecz oddał mi duże usługi w tych trudnych czasach. Instrumenty muzyczne dla naszej orkiestry otrzymaliśmy również od społeczeństwa cywilnego. I dzięki temu, chociaż od wojska nie dostaliśmy nic z instrumentów, orkiestra nasza grała i rosła..."

Wkrótce po styczniowej ofensywie batalion, liczący już blisko trzysta osób, wyrusza z Lublina na szlak, na końcu którego znajduje się bałtycki brzeg. Po Warszawie, Kutnie dłuższy postój w nie zniszczonym Włocławku, przy obfitej wreszcie kuchni. Trwa intensywne szkolenie zarówno bojowe, jak i zaprawa morska na łodziach okrętowych na Wiśle. 3 kwietnia 1945 roku batalion kończy marsz. Dociera do Gdańska.

- Wszystko było jeszcze ciepłe - wspominają Tadeusz Wajs i Władysław Trzeciński - pachnące dopiero co zakończoną walką. Tu i ówdzie wyciągano z piwnic i ruin niemieckich żołnierzy i oficerów. Płonące i walące się domy, zabici i ranni oraz nieprzytomni ze strachu i narzekający głośno na Hitlera gdańszczanie, dopełniali obrazu całości. Od czasu do czasu przelatywały pociski artylerii niemieckiej. Westerplatte było jeszcze w rękach niemieckich. 1 Samodzielny Morski Batalion Zapasowy obejmuje straż nad obiektami przemysłowymi i wojskowymi, stoczną gdańską i gdyńską. Marynarze przystąpili do prac porządkowych, usuwając pozostałe po działaniach wojennych uzbrojenie, amunicję, miny. Zajęli się również remontem na wpół zatopionych lub uszkodzonych niewielkich jednostek portowych.

W efekcie już 8 kwietnia w porcie na Oksywiu odbyła się uroczystość podniesienia bandery wojennej na pierwszej jednostce Marynarki Wojennej. Otrzymała ona nazwę "Korsarz".

Biało-czerwona znów była nad Bałtykiem.

Fascynacja polskim słowem

Na Bernardyńskiej zatrzymał go patrol.

- Halt! Ausweis! - rozkazał jeden z żandarmów.

Gdy sięgał do kieszeni, Niemiec podbił mu rękę. Sprawdził, czy nie ma broni. Dopiero potem pozwolił wyjąć dokumenty. Obok kenkarty- arkusiki zapisane maszyną. Podobne bibule. Żandarm, jak się okazało, niezłe znający język polski, zabrał się do czytania.

- Kto to napisał?

- Ja - odparł chłopak.

Jeszcze przed chwilą, przy swoim biurku w Powiatowej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej, wahał się jaki dać tytuł temu wierszowi: "Do przyjaciół poetów", czy krócej - "Do przyjaciół". Opiekuńczy duch grafomaństwa - ironizuje w czterdzieści parę lat później - sprawił, że nie zrezygnował z tego trzeciego wyrazu. Liryczna odezwa do poetów nie zainteresowała pierwszych jej czytelników. Odeszli bez słowa.

Dla autora zlekceważonego przez Niemców wiersza - Zygmunta Mikulskiego - oraz jego przyjaciół: Anny Kamieńskiej, Julii Hartwig, Jerzego Pleśniarowicza, Zygmunta Kałużyńskiego, Igora Sikiryckiego, Przemysława Zwolińskiego, podczas wojny, mimo jej okrucieństw, a może właśnie na przekór, nie umilkły Muzy. Przynajmniej te im najbliższe - Kalliope, Euterpe, Erato. Wymieniali książki. Spotykali się w mieszkaniu Hartwiżanki albo Kałużyńskiego /dokładniej - w mieszkaniu jego wuja, mec. Grafczyńskiego/, by mówić o poezji, najczęściej własnej.

Pierwszy zapamiętany przez Mikulskiego obraz z wyzwolonego Lublina to oddziały radzieckich żołnierzy niosące w obróconych kopułą do dołu hełmach przygarść podarowanych wiśni, jabłka. Zapamiętał, bo patrzył oczyma poety, a może dlatego, że arkadyjski ten obrazek tak mocno kontrastował z tym, co zakończyło się właśnie w grzmocie armat, od którego trzeszczało niebo. I pierwsze kroki wolności pomiędzy poplątanymi drutami, po pociętych rowami placach, wśród resztek broni i amunicji, gęsto rozrzuconych talerzy min.

Jednak w obrazie wyzwolonego Lublina najmocniej uderzył go nie rozbity czołg, nie przedarty na pół pociskiem artyleryjskim budynek "Europy", ale zwyczajny piach. W czym rzecz? Każdy większy budynek Niemcy przygotowali na punkt oporu. Więc zerwaniem chodników i bruku zapewnili sobie szybki dostęp do ziemi na wypadek pożaru.

Pamięta:

- Dziwne to było wrażenie. Bo piach, to zawsze coś wspólnego z rzeką, przełajem, dzieciństwem, bosą stopą... I to zdumienie odprężenia. Pomyśleć: nie ma Niemców. Niemożliwe: żadnego "Halt". Żadnego "Nur für Deutsche". Żadnego „Eintritt Verboten”. Najpierwsze i najważniejsze wtedy było - najeść się tym brakiem Niemców. Po pięciu latach bycia na muszce...

Piaszczyste wzgórze - pozostańmy jeszcze przy tej stylistyce - urbanizowało się. Ba, dorastało do zarządzanej po raz drugi przez los, roli stolicy Polski. Sztafaż tworzyły: gmach PKWN przy ul. Spokojnej, otwierane instytucje i urzędy, ruszające fabryczki. Coraz liczniejsze sklepy i restauracje. Ale duch i atmosfera były dziełem ludzi.

Nadal jeszcze przez Krakowskie Przedmieście przeciągały oddziały wojska witane

spontaniczną manifestacją przechodniów. A przybywali z nimi nie tylko słynni już dowódcy i politycy, ale także literaci, aktorzy, dziennikarze, plastycy, uczeni. Jechali do Lublina z wyzwolonych terenów, przedzierałi się i z ziem zajętych przez Niemców. Oto niektóre tylko nazwiska, za sprawą których Lublin w 1944 r. stał się „jarmarkiem współczesnej literatury polskiej”: Przyboś, Ważyk, Jastrun, Peiper, Pasternak, Putrament, Huszcza, Sandauer. Jedni wybrali wir życia społecznego, inni kawiarnię „U aktorów”. Byli i ci, którym najlepiej było w cieniu.

Jednym z pierwszych aranżerów życia literackiego stał się Przyboś. Jego porankowi autorskiemu przypada w powojennej chronologii numer jeden. Było to tak: Całe przezacne literackie gremium ówczesnego Lublina zasiadło w sali o bawarskim wystroju, mieszczącej się w pałacyku przy ul. Radziwiłłowskiej 9, zbudowanym przez Niemców na Haus der NSDAP.

Zygmunt Mikulski o bohaterze tego spotkania:

- Przyboś mówiąc poezją zawsze czynił to tak, jak kapłan podnosi monstrancję. Nic niżej mszy. To była jego religia.

Jerzy Pleśniarowicz, niepisany lider wspomnianych wyżej lubelskich poetów, obwieścił im któregoś dnia, że mają stawić się przed obliczem kogoś ważnego, a kto objawił zainteresowanie ich działalnością.

Ze wspomnień Z. Mikulskiego:

- „Kimś ważnym” okazał się Jerzy Putrament, zastępca redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej”. Mówił, że zwietrzałe przez okupację kryteria literackie muszą ustąpić innemu spojrzeniu na literaturę, która ma teraz towarzyszyć pracy i odbudowie. Że zwalczać trzeba przede wszystkim jałowy estetyzm zamykający twórcę w kręgu jego własnej osobowości. Chodząc po pokoju wzdłuż i wszerz, wykładał dalej: „Weźcie pod uwagę, że w wyniku realizacji reform ustrojowych, narodzi się nowy czytelnik. Czytelnik wymagający, oczekujący pisarskiego świadectwa spraw, które znajdują się w polu jego zainteresowania. Nie wystarczy już mówić w swoim imieniu. Pisarz ma stać się wyrazicielem zbiorowości i od tego, jak swą rolę przyjmie, zależeć będzie jego pozycja w nowej hierarchii społecznej”.

Mówi Mikulski: - O ile w tej relacji odbiegłem od formy, to treść jest autentycznym. Ta wypowiedź Putramenta w dość dobrze zakonserwowanym kształcie przetrwała przez lata w mojej pamięci. W jakże jaskrawej sprzeczności była do naszego bagażu humanizmu, może nawet XIX-wiecznego, do naszych nawyków kulturowych, estetycznych, jakie odziedziczyliśmy po okresie dwudziestolecia.

- Wydawało się, że wreszcie przyszła kolej na teksty. Prawie każdy przyniósł po parę arkuszy, jako nieśmiałą próbę. Nie seminarium jednak było zamierzone, ale przydział pracy. Kamieńska i Kałużyński zostali skierowani do mającego powstać tygodnika „Wieś”. Ja do radia. Hartwiżanka pozostała na razie bez przydziału...

Pozostańmy jeszcze przy Putramencie. Lubelskie przekazy głoszą, że kochał inspirować. Także w drobiazgach. Oto pewnego razu na korytarzu „Rzeczpospolitej” natknął się na osobnika o niezdecydowanym obliczu i takim zamiarze przybycia. Nie czekając zaatakował: „Kolego, zdaje się, że jesteście młodym poetą”. Gdy ten zaczął się plątać, usłyszał Putramentowe: „Doskonale. Mam dla was zadanie. Przejdziecie się po fabrycznych podwórkach i sporządźcie dla „Rzeczpospolitej” notatkę o marnotrawstwie materiałów budowlanych. Sami wiecie, czeka nas odbudowa, a tu rozlana smoła, tam rozsypany cement...”

Całkowicie zbaraniałemu dorzucił już na odchodne: "To doskonale kształtuje środki wyrazu"...

Podaję to na odpowiedzialność mojego cicerone po literacko-dziennikarskim Lublinie 1944 - Zygmunta Mikulskiego.

Jego także ręką prowadzony, próbuję teraz przedstawić wizerunek Jerzego Borejszy, człowieka -legandy tamtych lat, redaktora naczelnego pierwszej gazety w polipcowej Polsce, "Rzeczpospolitej". Najpierw fizyczność: zwalisty, zażywny, trochę niedźwiedziowaty. Mimo wieku i urzędu, stażu i doświadczenia, zachowywał się jak zapaleniec. Antybiurokrata, antyschematysta, Raptusiewicz i Jowialski demokracji. Lubił także posamowładać. Dyktaturę proletariatu, na którą się powoływał, najchętniej widział we własnym wykonaniu. Można było postyszeć dochodzące z jego gabinetu, rzucane w słuchawkę telefonu: "Wielka rzecz, to się zmieni ministra". Mało mu było kierowania "Rzeczpospolitą", mało różnych zajęć w PKWN, toteż założył Spółdzielnię Wydawniczą "Czytelnik". Tamten czas sprzyjał takim charakterom - jak zresztą początek każdego ruchu.

- Udzielił i on nam swego namaszczenia - wspomina Z. Mikulski. Zaprosił grupę młodych lubliniaków i przedstawił jej główne założenia polityki kulturalnej. Poczuliśmy się zaszczycony. Mój Boże, czy dwudziestoparoletnim niewypierzeńcom nie mogło się przewrócić w głowach, jeśli ciągle słyszeli słowa o roli literatury skierowane pod swoim adresem...

"Rzeczpospolita". Sprzedawali ją gazeciarze, sprzedawano w nielicznych kioskach. Ale także rozlepiano na płotach i bramach. Przed każdym arkuszem zbierała się grupa ludzi w radosnym podnieceniu wywołanym polskim słowem. Oto w jednym z numerów, obok wiadomości frontowych i lokalnych, komunikatów PKWN, wiersz Tuwima:

Otwórz nam Polskę, jak piorunem
Otwierasz niebo zachmurzone...
Słowo, polskie słowo.
Po pięciu latach znów wolne.

11 sierpnia 1944, o godz. 18, zainaugurowany został program radiowy "Pszczółki". Pierwsze słowa spikera Tadeusza Chabrosa brzmiały: "Halo, halo, Polskie Radio Lublin na fali 224 metry. Nadajemy naszą pierwszą audycję". A później popłynęły słowa Manifestu PKWN i melodia Mazurka Dąbrowskiego, emitowana po raz pierwszy - znów powtarza się ten zwrot - z wyzwolonej ziemi polskiej. A zaledwie dzień wcześniej, co podaję za wojskowym historykiem, płk dr Stefanem Chojneckim, przedstawiciel rządu ZSRR przy PKWN, gen. Nikołaj Bułganin, powiadomił Edwarda Osóbkę-Morawskiego o dostarczeniu wagonu mieszczącego studio, amplifikatornię i radiostację o mocy 10 KW. Spieszono się więc bardzo z owym: "Halo, halo, Polskie Radio Lublin..."

Brakowało jednak radioodbiorników. Najskuteczniejszym więc wyjściem był rozwój radiofonii przewodowej. Wtedy to na lubelskich ulicach znalazły się głośniki, oblegane przez cały czas pracy "Pszczółki". Początkowo czas emisji radiostacji lubelskiej był krótki, a program ograniczał się do audycji informacyjnych. Po

przeniesieniu studia z wagonu do pomieszczeń przy Chopina 9, co nastąpiło 18 sierpnia, można już było rozszerzyć czas nadawania, wprowadzić audycje słowno-muzyczne, koncerty, słuchowiska, transmisje.

Z rozgłośnia współpracowała znaczna i stale rosnąca grupa polityków /Bolesław Drobner, Stefan Jędrychowski/, naukowców /Henryk Raabe, Marian Małowist/, literatów /Leon Pasternak, Jerzy Putrament/, Mieczysław Jastrun, S.J. Lec, Jan Sztaudynger, Adam Ważyk/, aktorów /Władysław Krasnowiecki, Ryszarda Hanin, Kazimierz Wichniarz/, muzyków i pieśniarzy /Jadwiga Saloni, Mieczysław Fogg, Bogdan Paprocki/. Przed mikrofonem radia kilkakrotnie występował naczelny dowódca Wojska Polskiego gen. Michał Rola-Żymierski. Pierwsze przemówienie wygłosił już 12 sierpnia 1944 r. Mówił w nim o genezie LWP, jego zadaniach, apelował o masowe wstępowanie do wojska, niezależnie od dotychczasowej przynależności organizacyjnej.

Od początku swojej działalności lubelska rozgłośnia starała się zaspokoić głód informacji: o sytuacji na frontach wojny, wydarzeniach politycznych w kraju i za granicą, życiu na terenach wyzwolonych, polityce hitlerowskiego okupanta. A przy tym wszystkim znaczenie miało - po prostu - polskie słowo, polski wiersz, muzyka, głos znanego sprzed wojny spikera.

Zygmunt Mikulski, jak pamiętamy, odkomenderowany zgodnie z własną wolą do radia /o tym jak pożałował tego wyboru będzie dalej!, tak wspomina pewną znajomość:

- W radio widziałem Stefanię Grodzieńską, ale ignorantowi w sprawach przedwojennego kabaretu nic to nazwisko nie mówiło. Nawet się dziwiłem, że zwyczajna, spikerka, a taka dowcipna. Kiedyś w wielkim popłochu /nikt się nie domyślił, że zagrany/ wpadła do redakcji z rozpaczliwym "I znowu!". Kiedy skonsternowani otoczyliśmy ją z objawami współczucia, przypuszczając, że chodzi przynajmniej o jakąś wiązkę granatów z niemieckiego samolotu, dodała: "Ledwo wskoczyłam do bramy". Współczucie wzrosło, ale w końcu zażądano wyjaśnienia, co się stało. - "Jak to co - odpala Grodzieńska - "Piosenka o mojej Warszawie". Słyszę ją dziś po raz piętnasty". Stefania Grodzieńska występowała na scenie Domu Żołnierza w Teatryku Małych Form "Tankietka", prowadzonym przez Jerzego Jurandota. I to jak występowała! Dziś jeszcze składają mi się ręce do oklasków...

Gdy podczas mojego z nią spotkania, opowiadam Stefani Grodzieńskiej o tej admiracji sprzed lat i ciągle żywej lubelskiej pamięci, reaguje uśmiechem pełnym zakłopotania i mówi:

- Przemawia pan do mnie, jakbym była dobrem narodowym...

A później zaczyna opowieść. O tańcu, który był jej całym życiem. O wojnie, która zmieniła wszystko. O konspiracji, na polecenie której w lipcu 1944 r. udała się do podwarszawskiego Józefowa. Wybuch powstania uniemożliwia powrót do domu. Pracę znajduje u sołtysa w Kołbieli. W porzuconym przez kogoś egzemplarzu "Rzeczpospolitej" znajduje wiersz Janusza Minkiewicza, przyjaciela domu, pisany w Lublinie. Radziecką ciężarówką, przygarniętą przez żołnierzy, ale wysadzana przed wojskowymi punktami kontrolnymi i zabierana po ich minięciu, dojeżdża do stołecznego Lublina. Akurat przed godziną policyjną. Nocuje na schodach. Odszukany następnego dnia Minkiewicz mówi jej o konkursie na spikera, ogłoszonym przez lubelską rozgłośnia.

Wiemy już, że szczęście jej sprzyjało. A później było tak:

- Nas, spikerów, była piątka: Tadzio Chabros, Igor Sikirycki, Zbyszek Lutogniewski, zapomniana już Aleksandra Nowodworska, no i ja. Stanowiliśmy rodzinę jakich mało. Dzieliliśmy się ciepłą kurtką. Ja pożyczalam od nich buty, gdyż moje drewniaki rozpadły się w drodze do Lublina. Nieco groteskowo wyglądałam na ulicy człapiąc buciorami Tadzia czy Igora. Ale wtedy było to normalne, odbierane tak: "ma ona szczęście, że ktoś jej pożyczył, może wyjść..."

Całe to nasze radio mieściło się w jednym mieszkaniu przy Chopina 9. Największy pokój, obity kocami, to studio. W maleńkim pomieszczeniu obok znajdowała się amplifikatornia, królestwo naszego ulubionego kolegi, Piotra Zychowicza. Był jeszcze jeden maleńki pokój, służący do odpoczynku czy przygotowania się do występu aktorów, prelegentów i wszystkich innych przychodzących do radia. Tam spaliśmy całą piatką. Także i Sikirycki, który jako jedyny miał dom w Lublinie.

Trudno opowiedzieć atmosferę tamtych dni. To była mieszanina tragedii, gdyż prawie wszyscy mieliśmy najbliższych za Wisłą, a z drugiej strony - euforia. Że nie ma Niemców, nie ma gestapo. Gdy ktoś się smucił, miał jakąś chandrę, wszyscy dookoła wołali: "Przestań, nie ma gestapo". I pomagało, raz na dłużej, raz na krócej. Całym naszym życiem było radio, z jego gośćmi, z jego ciągłymi kłopotami. A były one przeróżne.

- I września, w rocznicę wybuchu wojny, ważne przemówienie wygłaszał prezydent Bolesław Bierut. W studiu on i ja. Nagle uchylają się drzwi od amplifikatorni i Chabros przyzywa mnie rozpaczliwym gestem. Wyszeptał: "On siedzi na złamanym krześle". W zamieszaniu nie dopilnowaliśmy i prezydent zajął mebel, na którym trzeba było "umieć" siedzieć. Nagranie szło na żywo. Martwieliśmy ze strachu. Na szczęście udało się - nic się nie stało. Kiedy wyjawiliśmy, co i jak - Bierut śmiał się z tego razem z nami, co zapisałam na jego duży plus. Zapytał też mnie: "Czy pani nie ma butów?". Faktycznie, od czasu pamiętnej drogi do Lublina, chodziłam boso lub w pożyczonym obuwiu. Bierut wypisał kartkę i polecił zgłosić się do magazynu wojskowego. Takie to były czasy. Ale co tam "prezydentowe" buty. Gdy do Lublina zjechał mój mąż, Jerzy Jurandot, za namową przyjaciół poszedł do PKWN z prośbą o kartki do stołówki pracowniczej. Wrócił jako dyrektor departamentu w resorcie kultury. A dosłownie dzień wcześniej był jeszcze stróżem nocnym. Takie czasy.. .

Jeszcze - mówi Grodzieńska - o audycjach. Na początku były wyłącznie komunikaty. Niektóre wyrwaliśmy sobie dosłownie z rąk. Do takich należała w pierwszym rządzie "Skrzynka poszukiwania rodzin". Bo każdy z nas liczył, że może znajdzie nazwisko bliskich, albo że to oni poznają nasz głos. Bo lubelską stację, choć słabą, słyszano i na terenach okupowanych. Ale też mieliśmy jedną audycję koszmarną, tzw. dyktando Polpressu. Otóż w nocy, po zakończeniu programu, przez kilka godzin dyktowało się dziennikarzom z ośrodków terenowych wiadomości, które nazajutrz miały ukazać się w gazecie. Każde słowo należało mówić oddzielnie, dyktować przecinek, kropkę, wykrzyknik. Nie można było prostować, poprawiać, bo zrobiłby się mętlik. Jako że w studiu panował ziąb, zdejmowaliśmy koce ze ścian służące do wytłumienia, owijaliśmy się nimi. A nasz przyjaciel z-amplifikatorni, pan Zychowicz, podawał gorącą herbatę.

Wypowiedziawszy dłuższe słowo, popijało się po łyku. Pamiętam, pewnego razu Zychowicz uchyla drzwi i brzmącym szeptem mówi: "Ciszej łykać, mikrofon bierze"... Od tej pory łykam bardzo cicho, chociaż mikrofon już mnie nie "bierze".

Po przeniesieniu rozgłośni na Narutowicza 4 poczuliśmy się jak w prawdziwym

radiu - wygodne, ale i wszystko... sformalizowało się. Zaczęły napływać tłumy aktorów, śpiewaków, muzyków. Dochodziło do wzruszających spotkań z przyjaciółmi, o których nie wiadomo było czy żyją. Tak witałam Miecia Fogga z malutkim synkiem. Z bólem muszę powiedzieć, że lublinianie nie lubili nas. I trudno im się było dziwić. Hurma, która najechała ich średniej wielkości miasto, stała się przyczyną niewygód, niedostatku. Ale byli też tacy, którzy ofiarowywali swoje łóżko, swoje ubranie ludziom zupełnie nieznanym. Do takich należała garderobiana z lubelskiego teatru. Spała z mężem na jakiejś kanapce, a ich małżeńskie łóżko gościło pięć, sześć osób różnej płci, a drugie tyle kwaterowało na podłodze. Ja też u niej mieszkałam. I nieraz budziłam się rano obok kogoś, kogo wcześniej nie widziałam, później też nie. Przygarniała ona wszystkich.

Ten "wspólny pokój" przenieśliśmy do radiowego kabareczku. Programu, który można nazwać pradziadkiem "Matysiaków". Pisałam - wraz z innymi - teksty, odtwarzałam też dwie role: dziewczyny oraz niemowlęcia. Ludzie myśleli, że męczymy prawdziwe dziecko. A to była chyba moja najlepsza rola w radiu.

Zygmunt Mikulski powraca do wcześniejszego wątku: - W wyzwolony Lublin sypnęło nazwiskami z pierwszej linii polskiej literatury. Mieliśmy więc możliwość konfrontowania wyobrażeń z rzeczywistym wyglądem postaci. Zebranie założycielskie Związku Zawodowego Literatów Polskich odbyło się 3 sierpnia 1944 r. Zapamiętałem z niego, że był referat pierwszy i drugi oraz to, że pyta nie tylko odurzona oparami ze skalnej szczeliny, ale jeszcze napojona wywarem z blekotu przy 42-stopniowej gorączce to mistrzyni klarowności przy młodym poecie, który był autorem referatu nr 3. Pamiętam też, że zebranie zakończyło się obiadem, podczas którego zdawało mi się, iż jestem na bankiecie Polskiej Akademii Literatury, jako nowo mianowany jej członek. Bo też jak potraktować to, że ja, dwudziestoparoletni chłopak, wymieniałem uwagi o wierszu, prozie, dramacie, Witkiewiczu, Schulzu, awangardzie z największymi znakomitościami ówczesnej literatury. I na myśl mi nie przyszło, że odbyło się to na zasadzie konwenansu, który obowiązuje przy stole. Przebudzenie miało przyjść szybko.

We wspomnieniach li zapiskach! jest także o nazwiskach "z pierwszej linii polskiej literatury".

Wspomina Mikulski:

Ważyk. Przed wojną widziałem jego zdjęcie w "Pionie". Nic, tylko nowoczesny intelektualista o pokroju tenisowym. A tu tymczasem szczupła postawa, niski wzrost, drobny kroczek, wszystko w zgodzie z żarciem: "Sądząc z wierszy, tuszy, twarzy to pan Adam Niecnieważyk". Nawet futerał pistoletu nosił wypchany papierem, jakby na dowód, że oręż poetycki jest innego charakteru.

Jastrun? Obowiązkowo peleryna. Krok naturalny, trafiający akuratnie w falowanie sukna. Wszyscy inni biegli, zaglądali, uzgadniali. Jastrun był. Rzadko spotykałem taki brak odruchu na atak aktualności.

Ale też był ktoś inny, słyszany, niewyczerpany w słowie mówionym - to Zofia Bystrzycka. W jaki sposób pełniła funkcję korektorki "Rzeczpospolitej", pozostanie tajemnicą. Kto tylko wchodził do redakcji "Odrodzenia", gdzie przebywała, musiał przejść przez ogień jej elokwencji. Nie chronił przed tym nawet udział w bitwie pod Lenino. A było to tym osobliwsze, że podporucznik Bystrzycka posadziwszy na krześle swą korpulentną kibić, prawie nie ruszała się z miejsca.

I znów chwila milczenia. Ale ta cisza nie brzmi już dla mnie: "tak niewiele mam do

powiedzenia". Wiem już, że wywołuje ona obrazy pamięci niczym chemiczny specyfik, w którym zanurza się filmową taśmę. Ale oto i koniec ciszy: Dziś jeszcze, kiedy coś mnie zapędzi na piętro budynku przy Krakowskim Przedmieściu 62, wychodząc zawsze mam ochotę jeszcze chwilę poczekać. Bo przecież wykluczone, by nie miała się tam pokazać zwalista postać Jana Huszczy, w niedokładnie dopiętej marynarce munduru. Huszcza w ogóle znakomicie odoficjalniał całą instytucję, traktując ją niemal jak swoją prywatną redakcję. Pod tym względem przewyższał go może jeden Borejsza.

Inaczej Grzegorz Jaszuński. Ten zawsze miał coś nagłego z Polpressu do radia. Tak nagłego, że na trasie łączącej te dwie instytucje, oddalone od siebie o całe 25 metrów, nie zapisał się żadnym charakterystycznym szczegółem, a tylko tym pośpiechem, który mógłby mu zapewnić osiągnięcie w poniedziałek wiadomości o wynikach konferencji mającej się zacząć we wtorek tego samego tygodnia.

- Pamiętam, ktoś powiedział, że w gabinecie naczelnego "Odrodzenia" jest Piętak. Było to już po pierwszej fali najazdu na Lublin osobistości znanych z książek, przybył więc on na żer drugiego rzutu ciekawości. Coś we mnie zagrało: pójść, ujrzeć, doznać. Jaś Kunefal to przecież przedostatnia przed wojną nagroda młodych Polskiej Akademii Literatury. Korzystając z jakiegoś pretekstu, poszedłem. Za biurkiem to samo liryczne rozmarzenie znane ze zdjęć w literackich pismach. Dialog spojrzeń. Z mojej strony: "Wiem, to Wielowieś i dlatego przedłużam milczenie". Z jego strony: "Domyślił się i zaniechał sprawy, z którą przyszedł, trzeba odplacić wdzięcznością". I ta przeciągnięta chwila bez słów to był dla mnie autograf. Zaczepiłem go później w celu przeprowadzenia wywiadu dla "Wsi", nie mając żadnej pewności, czy wywiad zostanie przyjęty przez redakcję, czyli przez wszechwładnego w niej Jana Aleksandra Króla. Siedzieliśmy w kawiarni "U plastików". Przy sąsiednim stoliku Parandowski niepochlebnie wyrażał się o Iwaszkiewiczu. Zgasło światło i rozmawialiśmy w ciemności. Ale tylko fizycznej. Psychicznie rozżarzał się Piętak, jakby czuł, że trafił na swojego czytelnika. A trafił, rzeczywiście. Z wywiadem miała później do czynienia jedynie sprzątaczką. Pozostało mi jednak pamiętne przeżycie sympozjonu.

- Relacjonuję to - notuję słowa Mikulskiego - w rozmiarze własnych doświadczeń. Nie byłem na wszystkich schodach, nie nacisnąłem wszystkich klamek. O Tadeuszu Peiperze powiedzieć mogę, że nosił jakąś torbę na pasku przewieszonym przez ramię. O więcej nie pytaj. A Sandauer? Dziwne, ale wówczas przychodził milczeć. Nie widziałem go poza żółtym prochowcem zwisającym luźno i nadającym całej sylwetce wygląd pielgrzymi. Chodziło mu tylko o książki. Pożyczał je z redakcyjnej biblioteki, nie wiem przez kogo i w jaki sposób w tym pośpiesznym czasie zaimprovizowanej.

Zygmuncie, mój znakomity przewodniku po literacko-dziennikarskim Lublinie 1944 roku, teraz Ty posłuchaj opowieści o pani Janinie Grabowskiej, za sprawą której powstała "w tym pośpiesznym czasie" biblioteka, a i czytelnia gazet też. Obie jako pierwsze. Drogę do Lublina odbyła pani Janina 7 października czterdziestego czwartego na furce, obok matki, z roczną córeczką na kolanach. A przedtem: rodzinne Podole, przyjazd do Polski, nauka w seminarium nauczycielskim w Inowrocławiu, bezskuteczne poszukiwanie pracy /ma autografy z wszystkich kuratoriów na terenie kraju z odmową przyjęcia/, a po interwencji dziadka - weterana z 1863 r., posada w biednej i trudnej szkółce na kresach. W stanie nauczycielskim pozostawała do wojny. Później konspiracja, małżeństwo z chłopcem z Lublina.

Rodzinne miasto męża, na dobrą sprawę, zobaczyła dopiero w ów październikowy dzień.

Zamieszkali w zrujnowanym domku przy dzisiejszej ulicy Wysockiego, mając za cały sprzęt tapczany zbite z desek. Małe dziecko, choroba matki - oto powody, dla których nie mogła podjąć pracy nauczycielskiej na pełnym etacie. Jako że przed wojną ukończyła również kurs bibliotekarski, złożyła więc podanie w kuratorium z prośbą o godziny w bibliotece, która dopiero będzie miała powstać. W tym czasie zrodziła się koncepcja przyszłej Spółdzielni Wydawniczej "Czytelnik". W zamiarach jej twórcy, Jerzego Borejszy, spółdzielnia miała zgrupować autorów, dając im wikt i opierunek, dalej - zająć się sprawami wydawniczymi, kolportażem czasopism, sprzedając książki we własnych księgarniach, a ponadto - jak się wtedy mówiło propagowaniem słowa polskiego, czyli pracą oświatową.

15 października 1944 r. odbyło się założycielskie zebranie spółdzielni "Czytelnik". Był to także pierwszy dzień pracy Janiny Grabowskiej. A oto jak do tego doszło. Zofia Dęblińska o twarzy Madonny i żelaznym charakterze, późniejszy wiceprezes i dyrektor "Czytelnika", zwróciła się do kuratorium właśnie z prośbą o wskazanie osoby, która mogłaby zorganizować i poprowadzić bibliotekę dla potrzeb już istniejących redakcji. I nastąpiło zderzenie poszukującego z poszukiwanym. Warunki odpowiadały obydwu stronom.

Pani Janina otrzymała do dyspozycji pokój w pałacyku przy Radziwiłłowskiej, w którym na piętrze koczowali literaci, dziennikarze, plastycy. Szczęśliwym trafem stary, z dobrymi tradycjami księgarz - Matyjewicz, wraz ze współnikami otworzył właśnie księgarnię przy ul. Świętoduskiej. Wystawił przechowane przez czas wojny encyklopedie, słowniki, atlasy, literaturę, wydawnictwa historyczne. Reszty już łatwo się domyślić. W niedługi czas potem "Czytelnik" zajął gmach przy Krakowskim Przedmieściu 62. Na piętrze mieściły się redakcje, na dole odbywał się kolportaż gazet. Sąsiednie pomieszczenia /dziś Galeria Art/ otrzymała biblioteka oraz otwarta wkrótce czytelnia ponieważ kupno jakiegokolwiek tytułu graniczyło ze szczęściem. Radio, choćby z powodu braku odbiorników, miało ograniczony zasięg. A tu przecież łamały się fronty, a na sąsiedniej ulicy szewc otwierał zakład, co też skrupulatnie odnotowywano.

Pani Janina otwierała czytelnię o 15, rzadko udawało się ją zamknąć o 19. Z ciężkim sercem, ale przystawała na dokończenie lektury. Czekala ją bowiem droga do domu przez pustkowia, gdzie napotkanie rabusia nie było niczym niezwykłym. Każde wypożyczenie odznaczała kreską. W ciągu dnia kresek takich stawiła dwanaście, trzynaście... Największym chyba wzięciem cieszyły się dzienniki, w tym pakiet "Rzeczpospolitej" w obydwu wersjach tzw. duża, która była w kolportażu na Lubelszczyźnie, ale także małe wydanie, przeznaczone do zrzutów z samolotu na terenach, które znajdowały się jeszcze pod okupacją niemiecką.

Wyposażenie sali stanowił długi stół, zwyczajne krzesła oraz żelazny piecyk, w którym paliło się drewnem dowiezionym z lasu. Piecyk, jako że zima była ostra, nie dawał rady ogrzać całego pomieszczenia, a największy pożytek z niego był ten, że można było podpiec na nim kluchowaty chleb.

Wiesz już, Zygmunt, o "swojej" bibliotece. Wspominaj więc dalej.

- Tyle już ukazywało się pism, że i satyrycy zaczęli ubiegać się o "pięć hektarów". "Pięć hektarów", w analogii do działki przydzielonej z reformy rolnej, znaczyło nowe

pole działania. No i zyskali je, a stało się to za sprawą Leona Pasternaka, który swoje stanowisko kierownika Wydziału Literatury w Resorcie Kultury i Sztuki wykorzystywał głównie dla powodzenia ukochanego "Stańczyka", którego był redaktorem naczelnym. Redakcja lokali nie miała, rękopisy przyjmowało się najczęściej na parapecie okiennym budynku "Rzeczpospolitej". Pisywali: Minkiewicz, Lec, Huszcza, Sztaudynger, Sandauer, a z miejscowych autorów Piotrowski i Stanisława Zakrzewska. Jej wiersz zamieszczony w piątym numerze "Stańczyka" stał się powodem konfiskaty i zawieszenia pisma. Wśród rysujących satyryków byli: Zaruba, Witz, Tomaszewski.

No i zaczęły wychodzić książki, choć może i przesadna to nazwa dla kilkudziesięciostronicowych zeszytów. Początek dała poezja. Wymieńmy chronologicznie: "Póki my żyjemy" Przybosia, "Serce granatu". Ważyka, "Godzina strzeżona" Jastruna, "Wojna i wiosna" Putramenta i - jako piąta w Polsce odrodzonej książka - "Wybór wierszy poetów lubelskich". Drukowało się w Zamościu, bo zdezelowane drukarnie lubelskie były zawałone zamówieniami urzędowymi. Zazwyczaj autor był gońcem, korektorem, redaktorem technicznym i organizatorem transportu swojej pozycji. No i później te... dyskusje na umór.

Właściwie to nic nie wiadomo, co się działo z tobą od momentu, gdy zgłosiłeś się do pracy w radiu. Wyjaśnij.

- Pragnąc zaprezentować się od przekonującej strony, napisałem mały skecz, który to "utwór" kierownik działu literackiego Janusz Minkiewicz - niech mu będą stokrotne dzięki - bez wahania zdeponował w koszu. A co więcej? "Nadaliśmy przegląd ostatnich wiadomości, a teraz chwila muzyki. Usłyszają państwo arię z opery "Pajace" Leoncavalla w wykonaniu..." To była cała moja robota. Pisanie spikerki. Bądź mądry i za każdym razem znajdź oryginalne sformułowanie. Z różnym powodzeniem mając dwa kamyczki, mógłbym szukać trzech wariantów ich kolejności. No i poznali się na mnie w radio. Zastępca redaktora naczelnego, kapitan Stanisław Nadżin, ostatecznie stwierdził, że partaczę te teksty do spikerek.

W Resorcie Kultury i Sztuki zwolnił się mój kolega pełniący funkcję referenta prasowego i z jego rekomendacji zostałem tam przyjęty. Zadanie polegało na zbieraniu wiadomości z poszczególnych wydziałów i przekazywaniu ich prasie. Jedną z relacji o życiu muzycznym w wyzwolonym Lublinie napisałem sam i zaniósłem do "Rzeczpospolitej". A nuż przyjmą. Wydrukowali. I miałem prawo do jednodniowych skrzydeł. A gdy powstała "Nowa Epoka" - słowa drukowanego przybywało, że aż dziw, iż Lublin nadażał z czytaniem - zostałem jej redaktorem technicznym.

Przyszedł wreszcie ten dzień. Szedłem ulicą 3 Maja. W powietrzu wisił szron, co do którego ani prawo ciążenia, ani słaba operacja słoneczna nie zajęły zdecydowanego stanowiska. Tu i tam lekko opalizował. Mówiłem ci, jak działają na mnie warunki otoczenia. A tu tony "Warszawianki" dobywały się z głośnika wiszącego na jednym z drzew. "Warszawa wolna" taki napis krzyknął z balkonu "Rzeczpospolitej", wyrysowany na tekturze o rozmiarach lekko ustępujących pięciu hektarom reformy rolnej. Patrzyliśmy na ten balkon, ale szok nie ustępował jeszcze miejsca radości. Wkrótce odpłynęła z Lublina stołeczność. Odjechał pociąg z pasażerami.

Ale stacja została.

Filmowcy i kiniarze

Pojawili się w Lublinie, gdy trwały jeszcze walki o miasto. Utrwalili je na filmowej taśmie. A potem zarejestrowali wstrząsający obraz pomordowanych na Zamku. I grozę dopiero co wyzwolonego Majdanka. 26 lipca czekali z kamerą wśród rozentuzjarmowanego tłumu na defiladę - przed generałami z 3 dywizji piechoty I Armii Wojska Polskiego: Zygmuntem Berlingiem i Aleksandrem Zawadzkiem. Sfilmowali też wkraczające do Lublina oddziały partyzanckie Armii Ludowej.

Losy polskiego filmu i polskiego wojska złączyły się w 1943 r. w obozie nad Oką. 15 lipca porucznik Aleksander Ford oraz trzech oficerowie bez stopnia: Stanisław Wohl, Władysław Forbert i Ludwik Perski, rejestrowali na taśmie filmowej moment żołnierskiej przysięgi. I tak powstał pierwszy dokument Czołówki Filmowej "Przysięgamy ziemi polskiej". Później było Lenino. Wohl uczestniczył w bitwie z kamerą w rękę, a Forbert - z aparatem fotograficznym. Odwadze operatorów frontowych, których nazwiska padły oraz tych nie wymienionych, ich wysiłkowi, zawdzięczamy unikalne dokumenty tamtych dni. Dni walki i pierwszych dni wolności. Kilkanaście zdjęć Forberta ilustruje ten tomik.

W Lublinie Czołówka Filmowa otrzymuje na siedzibę willę przy ul. Bocznej Lubomelskiej. Jeszcze kilka dni wcześniej należała ona do generała SS i policji Odillo Globocinika, kata Lubelszczyzny. Los zrzucił, że właśnie tu przygotowany został oskarżycielski dokument - "Majdanek - cmentarzysko Europy". Ten pierwszy po wojnie film średniometrażowy i pierwsza Polska Kronika Filmowa, która nosiła datę 15 listopada, powstawały w warunkach niezwykle prymitywnych. Taśmy, wywoływane w wannie, suszone były na sznurach niczym bielizna.

Dzięki pomocy Resortu Informacji i Propagandy PKWN oraz radzieckim dostawom sprzętu, można było przystąpić do urządzenia zaplecza technicznego. W październiku 1944 r. laboratorium było gotowe. Filmy wywoływano jednak nadal ręcznie, tyle że w kuwetach, a suszono na wielkich drewnianych bębnach, tak jak w pionierskich czasach kinematografii. Natomiast studio - no, może za duże to słowo - w którym nagrywano dźwięk, wyposażone było całkiem przyzwoicie. Od tej chwili Wytwórnia Filmowa Wojska Polskiego - bo taką nazwę przyjęła Czołówka we wrześniu 1944 r., po podporządkowaniu jej Głównemu Zarządowi Polityczno-Wychowawczemu WP - mogła realizować filmy krótkometrażowe i wykonywać seryjnie kopie dla kin.

Czas teraz na opowieść o lubelskich kinach. Ewakuujący się z Lublina Niemcy, mimo pośpiechu graniczącego z paniką, zdołali wysadzić w powietrze największe, najpiękniejsze kino w Lublinie - "Corso" przy pl. Litewskim. Z innych wywieźli urządzenia i aparaty projekcyjne. Ocalał jedynie aparat w kinie "Rialto" /gmach Teatru Starego na Starym Mieście/, należącym do rodziny Makowskich. Tam więc 30 lipca 1944 r. mógł się odbyć pierwszy w Lublinie pokaz zestawu filmów krótkometrażowych Czołówki. Pozostałe kina - "Apollo" i "Venus" /późniejsze: "Wyzwolenie" i "Robotnik"/ wyposażone zostały najpierw w przenośne aparaty projekcyjne przekazane przez wojskowe władze radzieckie, a potem otrzymały, wysłane z Moskwy, aparaty stacjonarne.

Tak więc 26 sierpnia mogło odbyć się uroczyste otwarcie kina "Venus", a nazajutrz "Apollo". W tym ostatnim wyświetlone zostały krótkometrażówki: "Przysięgamy ziemi polskiej", "Wojska sojusznicze lądują we Francji", "Przemarsz 56700 jeńców przez

Moskwę". Atrakcją dnia stanowił przywieziony specjalnie na tę okazję amerykański obraz "Złodziej z Bagdadu".

Jako że brakowało w Lublinie filmów fabularnych, sensacją pewnego sierpniowego dnia stała się wiadomość, iż na strychu kina "Venus", wśród rupieci, odkryto kilka pudeł z filmami, ukrytymi tam jeszcze we wrześniu 1939 roku. Po wydobyciu ich na światło dzienne okazało się, że są to: "U kresu drogi", "Trzy serca" i "Serce matki". Wszystkie nie najwyższych lotów, a przy tym w bardzo złym stanie technicznym. Ale i oto na polowym lotnisku w Radawcu ląduje radziecki samolot. Część jego ładunku stanowią filmy, w tym polskie przedwojenne. Pochodziły z kin znajdujących się na przedwojennych terenach wschodniej Polski, zajętych w roku 1939 przez ZSRR.

Stan kopii był opłakany, ale konserwatorzy pod wodzą Władysława, Wiśniewskiego, dowiedli swego kunsztu i pomysłowości. Np. taśmę z "Barbarą Radziwiłówną", pozbawioną z jednej strony perforacji, uzdatniono... nożyczkami. Gorzej było z filmem, w którym występował Jan Kiepura. Bowiem nijak nie można było doszukać się połowy aktów, ani nawet tytułu. Przemontowano go więc i opatrzone własnym tytułem - "Daj mi tę noc". I szlagier, mimo że czterdziestopięciominutowy, funkcjonował przez długie tygodnie. A oto niektóre tytuły, które w okresie od sierpnia do grudnia 1944 r. gościły na ekranach "Apolla", "Venus" i "Rialta": polskie "Jaśnie pan szofer", "Pani minister tańczy", "Wrzos", "Ty co w Ostrej świecisz Bramie", "Szczęśliwa trzynastka", "Królowa przedmieścia", radzieckie - "Czapajew", "Cyrk", "Sekretarz Raj komu", "Ona walczyła za Ojczyznę", amerykańskie - "Trzej muszkieterowie", "Serenada Słonecznej Doliny", "Zew pustyni".

26 listopada odbyła się premiera dokumentu "Majdanek - Cmentarzysko Europy", a jeden z dodatków poświęcony był procesowi przeciwko członkom formacji SS, stanowiącym załogę obozu Majdanek. Oglądający płakali, bluźnili, przeklinali, wołali o Bożą karę.

Na wszystkich. niemal filmach i seansach puste krzesła należały do rzadkości. Chodziło się do kina całymi rodzinami, nierzadko kilka i kilkanaście razy na ten sam film. Polskie słowo przyjmowano ze wzruszeniem i entuzjazmem, owacyjnie witano lubianych aktorów. Gorące przyjęcie zgotowano Adolfowi Dymśzy, który pojawił się w loży kina "Rialto", by obejrzeć komedię "Robert i Bertrand", w której grał razem z Eugeniuszem Bodo. Niestety, jego partner nie mógł być obecny na tym seansie, wszelki śluch o nim zaginął. Jak okazało się po latach, Bodo zmarł w sowieckim łagrze.

Kilka choćby zdań poświęcić należy ludziom zwanym pieśczołliwie kiniarzami. Jak już wcześniej wspominałem, w tym czasie właścicielem i kierownikiem "Rialta" był Romuald Makowski, "Venus" - Julian Apel, a "Apolla" - Franciszek Majchrzak. 15 października 1944 r. Biuro Wynajmu Filmów, będące agendą Wydziału Propagandy Filmowej przy Resorcie Informacji i Propagandy PKWN, zatrudniało już ponad pół setki osób. Pracowały tu nierzadko całe rodziny, dochowując przedwojennej tradycji. Środowisko to okazało się bardzo prężne. Już 1 października 1944 roku lubelscy pracownicy kinowi utworzyli przy Resorcie Kultury PKWN własny Związek Zawodowy Pracowników Filmowych, którego przewodniczącym został Władysław Wiśniewski. Jako że w pierwszych miesiącach pobory otrzymywano w naturze, dbali związkowcy o sprawiedliwy ich podział, a dochód uzyskiwany z dla wielu stać się miała własna

stołówka. Z ich to także inicjatywy w kinie "Apollo" odbył się pierwszy publiczny bal, grała orkiestra Cajmera. A o północy, wśród dochodzącej z dworu pistoletowej palby, składano sobie życzenia prowadzenia bufetów w kinach, zamieniali na rozdawane - także bezpłatnie - ziemniaki, owoce, odzież, obuwie. Błogosławieństwem na nowy 1945 rok.

"Grać się chciało, jak jasna cholera..."

Kocy było paręnaście. Cztery przyniósł z domu Stanisław Zalewski /waga kogucia/, dwa Jan Choina /piórkowa/, a resztę Jan Pasternak, kierownik kina Apollo. Przybili je do desek sceny papówkarni, gwoździami z łebkami jak moneta. Pasternak dał też cztery słupki. Ktoś przytaszczył linę. Opasali. I ring gotowy. Niezły, zabronione jedynie było odbijanie się od sznura. Słupki mogły oderwać się od podłogi.

Zbliża się niedzielne południe 20 sierpnia 1944 roku. Przedwojenny jeszcze spiker sportowych zawodów, Albin Lewandowski, notuje zestawienie par. Przedwojenny także sędzia bokserki, Tadeusz Marciniak, arbiter tego meczu, przypomina reguły walki. Nakładają rękawice, które Zalewski we wrześniu trzydziestego dziewiątego wyniósł ze zbombardowanego Domu Żołnierza. To wszystko dzieje się na zapleczu. Ring jeszcze wolny.

Ludzka rzeka płynie tak długo, dopóki na sali jest jeszcze skrawek wolnego miejsca. Wystarczający, by stanąć, przycupnąć. Obywatele porządkowi zebrali do czapek od kibiców 47 tysięcy złotych. Późniejsze rozliczenie będzie wyglądało tak: zawodnicy po tysiącu oraz blisko trzydzieści tysięcy na sieroty po poległych za ojczyznę.

Są, już są! Spiker Lewandowski, z tubą przy ustach, wita publiczność pierwszego meczu w wolnym Lublinie, w wolnej Polsce... W czasie przedwojennych zapowiedzi mówił głosem sztucznie podnieconym. Teraz chce zapanować nad głosem. I gwar, ten radosny gwar ciżby ludzkiej. Wzmagający się po każdym wywołanym nazwisku zawodnika: braci Ładów, wysiedlonych z Inowrocławia, poznańskiego warszawiaka Zygmunta Matuszewskiego, lubelskich wreszcie chłopaków: "Kajtka" Zielińskiego, Józefa Kality, Stanisława Zalewskiego, Jana Białka, Jana Choiny, Jana Wojdy, Antoniego Maciejewskiego, Tadeusza Orłowskiego, Stanisława Zielińskiego, Jana Walasa, Stefana Chodelskiego.

Cofnijmy czas. W tej samej sali kina Apollo, za wyjątkowym przyzwoleniem Niemców, w maju 1944 r., doszło do spotkania pięściarskiego Lublin - Warszawa. Organizatorem był popularny stołeczny aktor, Jaksztas. Pierwszą walkę stoczyli wówczas Zalewski i Śmiech. Tuż po ostatnim gongu Zalewski rozplątał się. Żandarmi pojawili się szybko, zbyt wolno jednak, by ująć go i przekazać wreszcie w ręce gestapo. Dopiero później Zalewski dowie się, że pokonał warszawiaka, co zresztą nie przeszkodziło gościom wygrać w stosunku 6:4. Z tą właśnie wiadomością dotrze też do niego "góral", zwyczaj owy zwrot kosztów podróży. Dla Zalewskiego był to czysty zysk, gdyż drogę z i do Zemborzyc przemierzał pieszo. W owej podlubelskiej wsi, pod gościnnym dachem Jana Pyszniaka, otrzymał schronienie. Był ścigany. A wiedział już co to niemieckie więzienie.

Jeszcze cofnijmy czas. W czterdziestym roku Zalewski, przyłapany na handlu, trafił na Zamek. Pięć miesięcy i siedem dni - takie liczby pamięta się - spędził w "zborniaku", celi 35, która w przeddzień wyzwolenia Lublina miała się stać miejscem masowej egzekucji więźniów. Pamiętał wszy, odór celi, smród należnego mu litra zupy, no i koszmar przesłuchań.

A tym razem nie o byle szmugiel szło. Odpowiada:

Gdy wróciłem z więzienia czekało na mnie w domu aż sześć wezwań do Arbeitsamtu. Znaczyło to: wyjazd na roboty do Rzeszy. Bałem się tego. Nie chciałem

też opuścić matki, była kaleką. Jak tu się wywinąć? - kombinowałem. Uratował mnie sport. W trzydziestym ósmym roku wysłany byłem przez Lubelski Związek Bokserów do Poznania, na kurs dla trenerów. Poznałem tam najstawniejszych polskich pięściarzy, jak Piłat, Majchrzycki, Konarzewski, Wende. Wykładowcą był Feliks Stamm. Po wojnie - wybiega myślami do przodu - współpracowałem z nim przez całe lata. To były złote czasy polskiego boks. Byłem na pięciu olimpiadach, trzynastu mistrzostwach Europy...

- Na tym kursie w Poznaniu - wraca do przerwanej wątku - nauczyłem się również masażu sportowego. Zgłosiłem się więc do szpitala niemieckiego na Czwartku, pokazałem dyplom i zostałem przyjęty. Jako masażysta ma się rozumieć. W szpitalu tym leżało ze dwa i pół tysiąca żołnierzy przywiezionych z frontu. Gdy częstowali mnie papierosem odpowiadałem: "Dziękuję, nie palę, jestem sportowcem, trzykrotnym mistrzem w boksie województwa lubelskiego". To im się podobało. A imponowałem, wymieniając cały skład niemieckiej drużyny bokserskiej na olimpiadzie w trzydziestym szóstym roku. Nazwiska te pamiętam zresztą do dziś. A gdy widziałem, że z jednym czy drugim idzie pohandlować, najłatwiej było z żołnierzami z Wehrmachtu, kupowałem to i owo. W tym pięć pistoletów.

- 21 października czterdziestego trzeciego przyszli po mnie żandarmi. Ze szpitalnego magazynu - wiedziałem już o tym - skradziono dużo broni. posądzony zostałem o udział w tym skoku. Przypomniałem sobie kupowane pistolety. Może ktoś doniósł - myślałem. Ze szpitala do samochodu prowadzili mnie z podniesionymi rękami. Wspomniałem Zamek. Wiedziałem, że teraz się nie wywinę. Żandarm, którego miałem z prawej, otworzył drzwiczki i zaczął się sadowić obok kierownicy, drugi obszedł samochód, chcąc wsiąść z przeciwnej strony. A trzeci wziął za klamkę, żeby wpuścić mnie do środka. Uderzyłem go w szczękę, przeżegnałem się, i co sił w nogach pobiegłem w dół, ulicą Szkolną. Słyszałem strzały. Wybiegłem na Lubartowską, potem przez cmentarz przy Unickiej, na Ponikwodę. Mieszkał tam mój dobry przyjaciel, Marian Kompanicki. Nie odmówił schronienia.

Ukrywałem się później w Zemborzycach, także w Łęcznej, Rozkopaczewie, Witaniowie. Nigdzie zbyt długo, ludzie mogli mieć przeze mnie kłopoty. Pomagałem w polu, pasłem krowy, rąbałem drzewo. Codziennie robiłem gimnastykę i walkę z cieniem. Gdy dowiedziałem się o planowanym meczu Lublin - Warszawa, nie było siły, która by mnie utrzymała...

25 lipca 1944 r., przez zadymione ulice, pomiędzy trupami ludzi i koni, przemyka się, wciąż nie dowierzając, że miasto już wolne od Niemców. Suterena przy Peowiaków 8. Staje przed matką, której czasu swego donieśli, że syn zginął zastrzelony na dworcu w Kraśniku. Nie silmy się na opis matczynego powitania.

Gdy zgłosił się do pracy, otrzymał przydział do Szpitala Ewakuacyjnego nr 64, którego komendantem był mjr Andrejew, a mieszczącego się w dawnym szkolnym budynku przy ul. Narutowicza. Został, oczywiście i masażystą, ale też "fizykulturnikiem". A gdy wkrótce spotkał się z paczką kolegów, podobnie jak on sportowców, powiedział: "Chłopaki, musimy coś zrobić"...

Poszli do Domu Żołnierza. Otrzymali zgodę na usunięcie ponemieckich łóżek z sali sportowej. Zaczęli treningi. Ale ile można walić w gruchę, czy młócić sparringpartnera? Prawdziwy mecz - oto co im się marzyło. Marzyło przez całą wojnę. Najbardziej podczas treningu na łące przy ul. Dolnej Panny Marii, za dzierżawę której Zalewski płacił gospodarzowi 300 złotych.

I wreszcie! 18 sierpnia 1944, ukazująca się od dwóch tygodni "Gazeta Lubelska", informowała pod wielkim tytułem:

"NA RINGU BOKSERSKIM

W niedzielę, tj. 20 bm., w południe, w sali kina "Apollo" odbędą się zawody bokserskie..."

Oto kończy się pierwsza walka - w wadze muszej - pomiędzy Stanisławem Zielińskim, dla odróżnienia od swego cięższego imiennika zwanym "Kajtkiem", a Józefem Kalitą. Sędzia, Tadeusz Marciniak, orzeka remis. Publiczność bije brawo. Teraz naprzeciw siebie stają Stanisław Zalewski i Lucjan Łada.

- Boksowaliśmy fair. On dążył do zwarcia, ja trzymałem go na dystans lewymi i prawymi prostymi. Ale potem walka była bardzo dobra. Wymiana ciosów, duże tempo. Wygrałem na punkty. Z Ładą przyjaźniliśmy się później przez całe lata, korespondowaliśmy. Niestety, już nie żyje...

Dopełnijmy kroniki tego meczu. W drugiej z walk, w wadze koguciej, Tadeusz Łada zwyciężył Jana Białka, w piórkowej Jan Choina wygrał z Janem Wojdą. W wadze lekkiej Antoni Maciejewski zremisował z Tadeuszem Orłowskim. Również remisem zakończył się pojedynek w wadze półśredniej między Stanisławem Zielińskim, a Zygmuntem Mateuszewskim, wreszcie w średniej Jan Walas zwyciężył Stefana Chodelskiego.

Tak właśnie orzekł arbiter tego meczu (i w ringu, i na punkty) - Tadeusz Marciniak, właściciel niezłe prosperującego zakładu wulkanizacyjnego przy ul. Zamojskiej 22. A oto historia zbratania się z kauczukiem tego przedwojennego wicemistrza Lwowa w boksie, potem urzędnika lubelskiej Izby Skarbowej i - równocześnie - wiecznego studenta KUL.

Niemcy, po zajęciu Lublina, tworzyli, bądź reaktywowali urzędy niezbędne do prowadzenia działalności gospodarczej, w tym Izbę Skarbową. Każdy z Polaków miał obowiązek zgłosić gotowość podjęcia dawniej wykonywanej pracy. Marciniak miał dwadzieścia parę lat i dużo ambicji, która nie pozwoliła mu pójść na służbę do okupanta i okładanie współobywateli podatkami. Żył z tego, co zahandlował rąbanką, spirytusem, czymś do ubrania. Ale trwało to krótko. Gdzieś na początku 1940 napotkał go urzędnik o nazwisku Podgórski, ożeniony z Niemką i z tej racji sam czujący się Niemcem. Był on już szyszką w Izbie Skarbowej.

Zapytał groźnie:

- A czemuż to kolega nie zgłosił się do służby?

Zagadnięty przypomniał sobie na ten moment, że jego wuj ma zakład wulkanizacyjny na rogu Królewskiej i Zamojskiej. Odpowiedział więc:

- Jestem teraz rzemieślnikiem-wulkanizatorem. Mówicie, że wszystkie koła muszą toczyć się do zwycięstwa, toteż bardziej przydam się wam jako ten, który te koła reperuje, niż jako gryziopiórek.

- Macie rację - usłyszał. Ale też groźbę: - My to sprawdzimy.

Marciniak wpadł więc do wuja, wyjaśnił co i jak. Ten wziął listę płac, umieścił na niej jego nazwisko, postawił datę sprzed paru tygodni. Nawet fikcyjną wypłatę pokwitował. I tak zaczął uczyć się rzemiosła. Po jakimś czasie wraz ze szwagrem Puchalskim, przy Zamojskiej 20, założyli warsztat wulkanizacyjny. Istnieje do dziś, prowadzi go siostra Marciniaka.

Oto zaś jego opowieść o lubelskim roku 1944, takim jakim go zapamiętał:

- Rozpoczął się okrutnie. 11 stycznia, na Nowej Drodze, obok mostu na Bystrzycy,

Niemcy zrobili publiczną egzekucję więźniów. Zgonili przechodniów. Ja, szczęściem, nie musiałem na to patrzeć. Ale do zakładu, w prostej linii, było bardzo blisko. Słyszeliśmy salwy, gdy rozstrzeliwali dziesiątkami. Bezradni zgrzytaliśmy zębami, nie wiedzieliśmy co ze sobą zrobić. Żeby zagłuszyć żal i wściekłość, u Cenzartowicza w sodówce szklankami żłopaliśmy wódkę.

- Ale już czuło się zbliżanie wolności. Szczekaczki podawały komunikaty Kwatery Głównej Rzeszy o "wycofywaniu się na z góry upatrzone pozycje". Wiedzieliśmy, że Armia Radziecka dochodzi do dawnych polskich granic Polski, potem, że przechodzi Bug. Jednak nim nadeszło wyzwolenie, przeżyć trzeba było straszną egzekucję na Zamku, o której wiadomość dotarła do miasta. Tłumy rodzin więźniów stały pod murami. Niósł się płacz i wrzask okrutny. Ale nic nie można było poradzić. Chyba że pójść tam i samemu łeb położyć. Ale co by to dało?

- Gdy trwały walki o Lublin, byłem w Nałęczowie, gdzie schroniła się żona z dziećmi. Na drugi dzień przyjechałem okazyjną ciężarówką. Miasto było zniszczone. Najbardziej ucierpiała ulica Królewska. W kamienicy pod numerem trzecim tkwił czołg. Gdy pocisk rozerwał mu gąsienicę, skręcił i trzasnął w ścianę, Na Ratuszu nie było wieży, przy wejściu leżały powalone kolumny. Zrujnowana była katedra. Lubelskimi ulicami szli i jechali Rosjanie. Pamiętam, przy grupie wiwatujących ludzi zatrzymał się czołg. Podeszedłem. Mówiło się wtedy, że ich tanki są z blachy i dykty. Obmacałem go ja, obmacali inni. Czołg miał gruby pancerz i dobre uzbrojenie. Rosjanie chętnie demonstrowali broń. Jakiś oficer mówił: - Przyszliśmy aby wyzwolić was z niewoli i żeby utworzyć wolną, suwerenną, demokratyczną Polskę.

- Dla wielu słowa "suwerenna" i "demokratyczna" były niezrozumiałe. A ci, którzy je rozumieli, rozmaicie interpretowali ich znaczenie i zamiary wyzwolicieli. Ale wtedy przede wszystkim byliśmy pod wrażeniem potęgi Rosji. Widzieliśmy, jak uciekają przed nimi Niemcy, którzy ogłosili się panami świata.

- W Lublinie zrobiło się raptem ciasno. Oprócz wojska radzieckiego i polskiego, władz państwowych, setkami i tysiącami zjeżdżali ludzie z wyzwolonych terenów. Pojawili się Francuzi i Włosi, więźniowie obozów jenieckich i koncentracyjnych. Pamiętam to wrażenie wieży Babel. Kościoły, które z wyjątkiem katedry nie ucierpiały od bomb i armatnich pocisków, pełne były modlących się. Nie było bowiem rodziny, która by kogoś nie straciła, albo też nie pragnęła odzyskać z trwającej jeszcze wojennej zawieruchy.

- Kupcy otwierali sklepy. Jedna po drugiej zaczęły powstawać knajpki i restauracje. Na Zamojskiej otworzył lokal Gralewski, na Świętoduskiej - Wróbel, na Koziej - Pączkowski. Największą renomę miały jednak dwie: Radzymińskiego, czyli późniejsza "Powszechna", oraz "Polonia", prowadzona przez trzech właścicieli, z których jeden, niejaki Werszczyński, po drugiej stronie Krakowskiego Przedmieścia otworzył wkrótce restaurację, w której był nawet kabaret "Lido". Chyba "Polonia" jako pierwsza miała swoją orkiestrę przygrywającą do tańca. A grali, oczywiście, przedwojenne szlagiery. Kuchnia opierała się na wieprzowym, bo restauratorowi najłatwiej było zdobyć świniaka u chłopa. Wódki nie brakowało. Duże zapasy miała fabryka wódek i likierów "Krychowski i spółka" przy ul. Bernadyńskiej. Alkohol przywożono także z Chełma.

- Ja nadal prowadziłem zakład wulkanizacyjny. Jesienią przeważnie reperowaliśmy śniegowce i kalosze, pochodzące jeszcze sprzed wojny. Nie lada sztuką było dobranie łątki, szczególnie do śniegowca z mory. A potem jeszcze należało zgrać paski, by nie popsuć szyku eleganckiej pani. Reperowaliśmy też opony i dętki rowerowe. A rower

w tym czasie był jedynym środkiem lokomocji. Później mieliśmy poważnego klienta - wojsko. Wtedy to warsztat zaczął się rozwijać. Płacili nam, wydanymi jeszcze przez Niemców, "młynarkami", zwanymi tak od nazwiska prezesa banku, Młynarskiego. Władz polskich nie było jeszcze stać na wypuszczenie własnego pieniądza, toteż ograniczono się tylko do stemplowania młynarek". Miało to zapobiec szalejącej inflacji. Nie zapobiegło.

Od Rosjan, naszych klientów, otrzymywaliśmy tzw. surową gumę, w postaci brył. Był to kauczuk, pozyskiwany jednak nie z drzew kauczukowych, ale z korzenia rośliny zwanej koksagys, hodowanej na Zakaukaziu. Wulkanizatorów interesowały też strącone samoloty. Ich zbiorniki okładane były kauczukiem. Po przebiciu takiego zbiornika przez pocisk wyciekająca benzyna rozpuszczała kauczuk, a ten zasklepił otwór.

- Zaczęliśmy naszą rozmowę od pierwszego meczu w wyzwolonym Lublinie. Ale jeszcze jedna impreza równie mocno utkwiała mi w pamięci. Niedługo potem sędziowałem międzynarodowy mecz bokserski Polska - Włochy. Z tym "międzynarodowym" to pewna przesada, chociaż bo ja wiem. Zresztą niech pan sam oceni... Było to tak: w Lublinie, na możliwość powrotu do rodzinnej Italii, czekali Włosi, wojenni jeńcy niemieccy. Zainteresowali się oni sportem. Brali udział w treningach odbywających się w Domu Żołnierza. Kilku z nich zdecydowało się nałożyć rękawice bokserskie, by zmierzyć się z Polakami.

Wkrótce afisze zapowiadały "pierwszy po wojnie mecz międzynarodowy". Spośród lubliniaków udział w nim wzięli: Choina, Białek, Zieliński, Siemionowie, Gajowiak. Walk w sumie było osiem. Ale czy można je było nazwać walkami? Polacy, mający za przeciwników nie dawnych niemieckich więźniów, markowali tylko pojedynki. Z jednym, jedynym wyjątkiem. Myślę tutaj o prawdziwej, stojącej na dobrym poziomie walce pomiędzy dużej klasy technikiem, silnie bijącym Choiną, a pięknie i skutecznie boksującym Fiorim. Wygrał Włoch.

- Po jakimś czasie otrzymałem list z Minori, małego miasteczka leżącego nieopodal Neapolu. Jego nadawca, właśnie Fion, prosił o potwierdzenie, że pokonał przedwojennego mistrza okręgu lubelskiego. Pisał też o tym, że ze wzruszeniem wspomina lubelską serdeczność i gościnność, której która pomogła uwierzyć mu w ludzi, po niemieckiej niewoli.

Jesienią czterdziestego czwartego rozegrano jeszcze dwa mecze - tym razem piłkarskie - reklamowane na plakatach jako międzynarodowe. Przeciwnikami Polaków, wyłącznie już z lubelską metryką, byli również wracający z niewoli Francuzi i Włosi, dla których Lublin był etapem na drodze do domu. A oto jak doszło do tych spotkań.

Przy ul. Okopowej, w miejscu gdzie stoi dziś gmach byłej DOKP, znajdowało się lubelskie centrum sportowe. Obiekt otaczał wysoki mur, wysypany na szczycie tłuczonym szkłem. Przed wojną wzdłuż tego muru jeździli konno policjanci, z gracją zabawiający się nahajką. Tłuczone szkło i nahajka miały tego samego adresata - darmowych amatorów sportowego widowiska, zwanych później gapowiczami. A za murem: boisko piłkarskie o wymiarach 100 x 45 m, kilka boisk do siatkówki i koszykówki, ziemne korty tenisowe. Na trybunie pomieścić się mogło nie więcej niż 300 kibiców, ale "miejsc stojących" było gdzieś z 10 tysięcy. I na to właśnie boisko przy ul. Okopowej zapragnęli wrócić lubelscy piłkarze. Pomysł - jak na te czasy -

szalony. Lublin wolny, ale przecież niespokojny. Trwała wojna... Dlaczego więc tak nagle?

Ryszard Wnuk w Notatce kronikarskiej nr 1 z sierpnia 1944, napisanej na zachowanej sprzed wojny firmówce Wojskowego Klubu Sportowego "Unja", ulica Peowiaków nr 12 na ten temat: "Grać się chce, jak jasna cholera..." I tyle. Dla niego i jego kolegów starczyło, było jasne. Ja musiałem poznać historię, którą teraz opowiem.

Piłkarska drużyna juniorów była oczkiem w głowie zarządu WKS "Unja". Sprowadzono dla nich - co było wydarzeniem w skali kraju - trenera z Austrii, niejakiego Golda. Tu wyjaśnienie: austriacka szkoła gry w piłkę słynęła przed wojną. W 1939 roku lubelscy futboliści wygrywają w finałowym meczu o mistrzostwo Polski. Świat, który wydaje się leżeć u stóp tych siedemnasto- i osiemnastolatków, za dni niewiele runąć ma w gruzy.

Ryszard Wnuk, syn lubelskiego marszałka, na ten czas goniec w szkole budowlanej, przyjmuje mobilizacyjny apel jako skierowany do siebie. Z kilkoma kolegami obiera kierunek - za Bug. Doszli tylko do Łęcznej, Trafili akurat na moment wysadzenia mostu na Wieprzu przez polskich saperów. W lasku koło Łuszczowa stać się mieli świadkami - pierwszego dla nich - tragicznego zdarzenia.

Na odpoczynek zatrzymała się tu spora grupa uciekinierów. Jedni zamierzali iść w stronę Bugu, inni stamtąd wracali. Pojawił się zmotoryzowany patrol Wehrmachtu. Dowódca, świetnie mówiący po polsku, rozkazał oddzielić mężczyzn, a gdy to nastąpiło - zapytał o broń. Nawet dla niewprawnego oka cywila jasne było, że ci w eleganckich butach z cholewami, w bryczesach i cywilnych marynarkach, to oficerowie. Pytanie Niemca pozostało bez odpowiedzi. Wtedy nakazał rewizję. Przy jednym z mężczyzn znaleźli pistolet. Odebrano mu i kazano uciekać w pole. Wiedział co mu grozi. Biegł więc zakosami, padał, wstawał. Niemcy strzelali jak do gonionego psa. Nie mogli trafić. W końcu uruchomili stojący na motocyklu karabin maszynowy. Dosięgli go. Dowódca nakazał jego współtowarzyszom przyniesienie łopat z chłopskich chałup i zakopanie nieszczęśnika tam, gdzie padł. Całą grupę uciekinierów pogoniono w stronę Lublina.

Tego dnia, a był to 17 września, lubelski chłopak, dla którego całym życiem była piłka, pojął słowo - w o j n a. Późniejsze losy mistrzowskiej drużyny juniorów, to nic innego jak lubelska karta pokolenia "Kolumbów". W grudniu 1939, w mieszkaniu swojego opiekuna z WKS "Unja", sierżanta 8 pp leg. Kazimierza Świderskiego, na jego ręce, składają konspiracyjną przysięgę.

Ryszard Wnuk, pracujący w Mineral Oel Monopol, firmie zajmującej się sprzedażą materiałów pędnych, przydzielony zostaje do grupy wywiadowczej. Zdobywa informacje o wszelkich poczynaniach Niemców i konfidentów. W 1942 r. grunt zaczyna mu się palić pod nogami. Toteż oddelegowany zostaje do partyzantki, w rejon Bychawy. Pożyteczniejszy jest jednak w Lublinie - zna miasto, ludzi. Zostaje noszowym w niemieckim szpitalu wojskowym na Czwartku, mieszczącym się w przedwojennym seminarium duchownym. Do szpitala tego przywożono żołnierzy wprost z frontu wschodniego, z pełnym uzbrojeniem. Ich broń przechowywana była w magazynie na strychu. Historia kradzieży tej broni przewinęła się już w tym reportażu, w relacji Stanisława Zalewskiego, zatrudnionego wówczas w tym samym szpitalu w charakterze masażysty. Przypomnijmy: Zalewski, podejrzany o dokonanie "skoku", został aresztowany. Prowadzony do samochodu zdołał wyrwać się

żandarmom i zbiegł.

A oto opowieść rzeczywistego sprawcy kradzieży broni, Ryszarda Wnuka:

- Skoku na magazyn dokonać miałem z Zenkiem Paprotą, wyborynym piłkarzem. On był tym z zewnątrz, a ja tym, który zna szpital. Pod osłoną nocy, gdy wartownicy oddalili się, przeskoczyliśmy przez płot. Podrobionymi kluczami otworzyłem boczne drzwi do budynku, a później zamki magazynu. Wykosiliśmy broni i amunicji, ile się tylko dało. Ładowaliśmy do worków, za pas. Powrót tą samą drogą. Mieliśmy o tyle pecha, że w czasie przechodzenia przez mur któremuś z nas wypadł pistolet.

Znaleźli go patrolujący. Podniesiono wielki alarm, zaczęła się rewizja całego polskiego personelu. Ale o tym dowiedziałem się dopiero później. Tymczasem ze zdobyczną bronią dotarliśmy do składu pasz, znajdującego się na rogu dzisiejszych ulic I Maja i Alei Zygmuntowskich, a prowadzonego przez Kazimierza Świderskiego. Aresztowania poszły szeroką falą. Zabrali i mnie. Mimo że feldżandarmeria, a potem gestapo, nie mieli przeciwko mnie dowodów, siedziałem na Zamku od lipca czterdziestego drugiego do grudnia czterdziestego trzeciego. Ale to oddzielna historia. Zwolnienie zawdzięczam staraniom matki i organizacji...

Choćby krótko, ale nie sposób nie wspomnieć tu o piłkarskich rozgrywkach podczas okupacji. W latach 1942-43, na boisku przy Nowej Drodze, odbywały się regularne spotkania piłkarskie o mistrzostwo Lublina. Uczestniczyło w nich wiele drużyn i zawodników, którzy z narażeniem życia kopali piłkę, strzelali bramki, a koleżeńska władza, którą można by nazwać "wydziałem gier", wszystko to weryfikowała, układała tabele, terminarze. I co charakterystyczne - protestów nie było. Z junacką beztroską, ale i szczęśliwie, lubliniacy jeździli grać do sąsiednich miast, w tym "paszczy niemieckiego lwa" - Dębina. Temat ten godzien jest swojego kronikarza.

Lipiec 1944. Autor późniejszych słów "grać się chce, jak jasna cholera", zdejmuje obraz ze ściany, przekręca gałkę radia. Wschód i Zachód informują i agituja po polsku. Polityczne racje i apele są różne, ale doniesienia o podchodzeniu Rosjan do Chełma i Lublina - takie same...

Rosjanina zobaczył po raz pierwszy w bramie swojego domu przy Lubartowskiej 16. Pamięta swoje i jego zdziwienie. Ze słów rosyjskiego żołnierza zrozumiał prośbę o poprowadzenie zwiadowców. - O tam - palec "krasnoarmiejca" mierzył w staromiejskie wzgórze. Znał świetnie wszystkie zaułki, bramy i przejścia. Właśnie przed chwilą, mimo ostrzału artyleryjskiego, składał wizytę pannie na Starym Mieście. "Taka gówniarzowska fanfaronada" - powie teraz. Radzieckich zwiadowców doprowadził na sam Rynek.

Oto walki o Lublin i pierwsze dni w wyzwolonym mieście, jakimi zapamiętał je Ryszard Wnuk:

- Linia frontu przebiegała wzdłuż Czechówki. Była to żadna rzeka, dziecko mogło ją przeskoczyć, ale taka - frontowa - przypadła jej rola. Rosjanie atakowali od ul. Lubartowskiej. Głównym punktem oporu Niemców w tym rejonie miasta był Ratusz. Umieszczone na jego wieży karabiny maszynowe siekły wzdłuż Lubartowskiej. Ale gdy podciągnięta została artyleria i nadeszły czołgi, walka, na ten czas bardzo zażarta, nie trwała już długo. Na moich oczach runęła wieża Ratusza, rozwalona przez czołgowe pociski.

Następnego dnia rano, 25 lipca, Lublin był wolny. Chodziłem po całym mieście, widziałem mnóstwo ludzkich trupów, zabitych koni i wojskowego sprzętu - tabor,

samochody, broń – którego Niemcy nie zdążyli zabrać. Szczególnym przedmiotem mojego zainteresowania - mówi dalej Ryszard Wnuk - stał się budynek KUL. Znajdowały się tu potężne magazyny wojskowe z bronią i amunicją. Niemcy nie zdążyli tego wywieźć, ani wysadzić. Brało się więc to wybitnie wojenne dobro pełnymi garściami, chociaż... nie wiadomo po co. Wkrótce i tak trzeba było wszystko oddać.

- Nazajutrz do Lublina wkroczyła armia polska. Szli od strony Lubartowskiej do Krakowskiego Przedmieścia. Zobaczyłem ich na pl. Litewskim. Ludzie rzucali na nich kwiaty, całowali, klękali, modlili się. Był taki szal radości, że tego słowa nie opisze...

Z obwieszczenia dowiedział się Wnuk, że poszukiwani są ludzie do pracy w PKWN-ie. Zgłosił się, został kierowcą ministra oświaty Stanisława Skrzyszewskiego. Służbowego Willisa obudował dyktą, pomalował. Do limuzyny było daleko, ale nie łało się już za kołnierz, a zimą nie nadmuchiwało śniegu. O szefie mówi dziś ciepło. Był jego powiernikiem i przyjacielem. Znał skromne mieszkanko ministra przy ul. 3 Maja i tajemnice wagi państwowej. Ale cóż to były za tajemnice. Zarówno w dzień, jak i późną nocą mówiono i radzono o tym, gdzie dałoby się otworzyć szkołę, jak skompletować zespół nauczycielski, skąd wziąć podręczniki, a gdy powstał pierwszy program nauczania - powielano go w ministerialnej siedzibie. Wydarzeniem i przeżyciem dla wszystkich, szofera nie wyłączając, stać się miało powołanie uniwersytetu.

Jakie takie tajemnice związane były zaś z prywatnością ministrów. Każdy z nich miał swojego anioła-stróża, porucznika z ochrony. Nigdzie nie mógł ruszyć się bez niego. Ale prawie każdy z ministrów, także Skrzyszewski, kołował "ochranników", jak mógł. Pewnego dnia zebrano wszystkich kierowców, poddano spowiedzi i nakazano, by nie śmieli pomagać więcej szefom w "urywaniu się na miasto". Na niewiele się to zdało. Urywali się nadal.

Ze służbowego obowiązku i osobistej potrzeby brał udział kierowca Wnuk w wiecach, organizowanych najczęściej w kinie Apollo i na pl. Litewskim. Wciśnięty w tłum słuchał Osóbki-Morawskiego, Witosa, ministra kultury Rzymowskiego, "swojego" Skrzyszewskiego, mówiących o tym czym jest PKWN, czym Rząd Tymczasowy. Co robi, co zamierza: przekładali wreszcie na pospolity język słowa Manifestu. Słuchaczy było wielu. I może najpierw dlatego, że łaknęli polskiego słowa, chcieli usłyszeć, że są wolni - reagowali entuzjastycznie. Czas polityki i politykowania, prześladowań i komunistycznych zbrodni jeszcze nie nadszedł. Tak to wtedy widział, tak czuł, dwudziestoparoletni lubelski chłopak. Później, przez parę dziesiątków lat, popularny lubelsko-puławski dziennikarz.

Pytany o lubelskie życie codzienne w czterdziestym czwartym, Ryszard Wnuk opowiada. też o dwóch rynkach. Oficjalnym, na którym podstawowe artykuły żywnościowe, w skąpych racjach, sprzedawane były na magistrackie kartki. Ale funkcjonował także, i to coraz lepiej, czarny rynek. Towary na początku pochodziły z rozszabrowanych ponemieckich magazynów, a żywność dowożono ze wsi. Kwitł handel domokrażny.

- Na progu własnego mieszkania kupić można było coś do ubrania, rąbankę, wódkę, bimber. Jego produkcja szła pełną parą. Pędzono go z cukru, ale częściej z żyta, buraków. Swoistą sławą w tym względzie cieszyła się Lubartowska. Prawie w każdej bramie był wyszynk prowadzony przez dozorcę albo lokatora z parteru. Nie tak znów rzadkie było doprawianie bimbrowi czy wina, dla podniesienia mocy, sodą

kaustyczną albo karbidem. Paliło w gardle jak prawdziwy spirytus, ale dla wielu napój był to śmiertelny...

Pora jednak wrócić do zdania, krótkiego jak strzał z bicza: "Grać się chciało, jak jasna cholera". Mówi ich autor:

- Dymiły jeszcze lubelskie zgliszcza, gdy grupki zawodników, jak po sznureczku, ciągnęły w stronę boiska przy Okopowej. Wspominano wojenne przeżycia, ale znacznie więcej mówiło się o tym - jak tu zacząć legalnie działać. Oporów przed tym było dużo, bo to i czas wojenny i rozmaitych plotek o ludziach krążyło co niemiara, ale sportowe ciągotki wzięły górę. Grupa działaczy z kpt. Czarneckim na czele - wśród których byłem i ja - udała się do komendanta miasta, st. lejtnanta Iwanowa. Rezydował w gmachu, który był w czasie wojny siedzibą gestapo, tzw. budynku "Pod zegarem". Z gmachu tego miałem tragiczne wspomnienia. Podczas przesłuchania, wiszącego pomiędzy dwoma biurkami, ze związanymi rękami i nogami, Niemcy bili mnie kołkiem...

Widać minę miałem nie za wesołą, bo rozmowa z Iwanowem zaczęła się nie od sprawy, która nas tu przywiodła, lecz od wspomnień. Wywarły one chyba jakieś wrażenie, bo petycja nasza, dotycząca zezwolenia na korzystanie z boiska przy ul. Okopowej, znajdującego się w gestii władz wojskowych, prędko znalazła zrozumienie. Dziwił się tylko komendant tej naszej pasji, gdy "do Berlina jeszcze tak daleko".

A więc pierwszy krok był za nami. Kierujemy się teraz do władz polskich. Trafiamy do Domu Żołnierza, gdzie już tworzy się załóżek życia kulturalnego, powstają zespoły, jest teatr. Przyjmuje nas tu rytm. Gwidon Salomon, chłop jak dąb, rasowy kawalerzysta. Rozmowa kończy się żądaniem przedłożenia listy z nazwiskami działaczy i zawodników. Znaleźli się na niej: Baran, Chandze, Czarnecki /senior/, Czarnecki /junior/, Fiok, Z. Gajowiak, T. Gajowiak, Garbalski, Gozdecki, Głuszek, Krajewski, Królikowski, Łada, Łączka, Maciejewski, Nieoczym, Nowak, Miduch, Marciniak, Madej, Orłowski, Różyło, Rudnicki, Rudziński, Samuś, Skrański, Szczygielski, Wnuk, Wojda, Wójcicki, Zalewski, Zieliński.

Sportowa działalność zaczęła się... od wybicia dziury w murze. Wejście na stadion znajdowało się bowiem na nie dostępnym dla cywili terenie wojskowym, trzeba było zrobić nowe. Wrócili na swoje boisko przedwojenni mistrzowie: bramkarz Włodzimierz Skrański, zawodnicy - Stanisław Rudnicki, Tadeusz Różyło, Tadeusz Malinowski, Piotr Krajewski, Stanisław Gospodarek, Jan Lorek, Zdzisław i Stanisław Gajowiakowie, Jerzy Czarnecki, Kazimierz Gęsicki, Henryk Wójcicki, Władysław Stachyra, no i oczywiście Ryszard Wnuk. Pod komendą Józefa Madeja, także sędziego piłkarskiego, podjęli treningi. Takie, jakie zapamiętali sprzed wojny, takie jakie im podpowiadała piłkarska intuicja.

Naturalną kolejną rzeczą pojawiło się pytanie: z kim by tu zagrać? Ktoś wtedy powiedział o stacjonujących w Lublinie Francuzach i Włochach. Wyzwanie przyjęli jedni i drudzy, ale "żabojady" pierwsi skompletowali drużynę. Z rozlepionych po mieście afiszy krzyczały dwa wyrazy: POLSKA- FRANCJA.

W to niedzielne popołudnie pogoda była, o której mówi się - piłkarska. Przez dziurę w murze płynęła ludzka rzeka. Nie było biletów wstępu, kto mógł dobrowolny datek wrzucał do skrzynki. Przynajmniej dziesięcioletni tłum otoczył płytę boiska. Polacy zajęli miejsca w następującym zestawieniu: bramkarz, para obrońców, trzech pomocników i pięciu napastników. Takim systemem grali przed wojną.

Gwizdek i zaczęło się. Ogłuszający ryk: Polska! Polska! Polska! Tego ludziom brakowało przez pięć okupacyjnych lat. Wołali "Polska", choć wiedzieli, że z jednej strony są jeńcy wracający do domów, a z drugiej lubelscy chłopcy. Ale przecież już można było bezkarnie wołać to jedno najdroższe słowo - Polska. I wołali, pełne 90 meczowych minut.

Co by do tego dodać? Francuzi zaprezentowali futbol czysto amatorski. Już po pierwszych minutach wiadomo było, że ograć ich można łątwiutko. Za sprawą "naszych" mecz przemienił się w pokaz gry w piłkę nożną, co można mniej elegancko nazwać - robieniem przeciwnika w konia. Przed wojną o czymś takim mówiło się - gra w dziadka. Wynik meczu - 4: 1.

Włosi okazali się lepszymi partnerami. Grali lepiej technicznie, bardziej elegancko. Przegrali w stosunku 2:4. "Królem strzelców" podczas obydwu spotkań był Tadeusz Różyło.

Ryszard Wnuk kończy swoją opowieść:

- Miałem wtedy satysfakcję, może trochę samozwańczą, że gram w reprezentacji Polski. A może i była to reprezentacja kraju? Bo wolna Polska znajdowała się po tej stronie Wisły...

Ślub

To miała być opowieść o miłości. O uczuciu, najlepiej pierwszym i głębokim, mającym za tło okaleczony, ale zachłyśnięty wolnością Lublin. Miała to być rzecz o młodych, wierzących we wspólne szczęśliwe życie. Pozostawało znaleźć kobietę i mężczyznę, spisać zdarzenia zachowując atmosferę tego romansu sprzed czterdziestu lat. Gdzie jednak ich szukać?

Parafialne księgi z nazwiskami tych, którym w 1944 r. udzielono sakramentu małżeństwa. Spisuję: 30 lipca - Wilkołazki Jan, lat 21, s. Stanisława i Bicz Stefania; Migdał Franciszek, lat 46, s. Stanisława i Wachowska Wiktoria; Koziół Stanisław, lat 22, s. Grzegorza i Giryczuk Helena; Batarski Wacław, lat 33, s. Kazimierza i Fornal Wiktoria; Fornal Czesław, lat 23, s. Stanisława i Ciechońska Helena. Oto i kandydaci na bohaterów miłosnej opowieści. Niewykluczone, że zachnie się w tym momencie czytelnik: Zaraz, zaraz, czy ślub to już miłość... Bywa, że - tak, bywa, że - nie. Poszedłem tym tropem także dlatego, że lepszego pomysłu nie miałem.

Rolnicze zabudowania przy ul. Poligonowej 28. Lubelski adres, ale miasto - wieżowce Czechowa - hen na horyzoncie. Jan Wilkołazki opowie o ślubie i weselu z taką wstrzeźliwością, że reporterski notes pozostanie czysty. "Gdyby była żona, ale akurat pojechała do miasta". A Lublin pod okupacją i Lublin wyzwolony? - "Za Niemców nie było po co kręcić się tam bez potrzeby, była zresztą robota w gospodarstwie. A po wyzwoleniu, zaraz w parę dni po weselu, wzięli mnie do wojska i poszedłem za frontem".

Adresu kolejnych małżeństw, mimo życzliwej pomocy urzędniczek z Ratusza, nie udaje mi się ustalić. Dziwne, ale jakby ślad po nich zaginął. Dalsze karty w parafialnych księgach - notuję już na zapas; Przy nazwisku Izydora Sz. i Reginy W. dopisuję nazwę ulicy, w dzielnicy Dziesiąta. Drugie piętro odrapanej kamienicy, drzwi z numerem 6. Dzwonek, pukanie i... cisza. Zapachy stęchlizny, gotowanej kapusty i czegoś tam jeszcze walczą o lepsze. Zza sąsiednich drzwi, tylko co uchylonych, dobiega pytanie: Kto i w jakiej sprawie? Drzwi otwierają się teraz szerzej, w głosie kobiety cień przeprosin:

- Myślałam, że to znów koledzy do niego na pijaństwo. Pobudował sobie gdzieś dom i tam mieszka, a tu zrobił melinę. My dusimy się w jednym pokoju z kuchnią. Można popatrzeć... Pan powie, gdzie by to pójść, żeby przydzielili mi tamto mieszkanie?

Kurczy się lista potencjalnych bohaterów miłosnej opowieści. Nie żyją, wyjechali, nieznany adres, rozeszli się.

Dwudziesta dziewiąta para z moich notatek: Jan Maj i Lucyna z domu Szymanowska, zapisani są w księdze parafii św. Mikołaja na Czwartku, pod datą 17 września 1944 roku. Żyją, i to zgodnie, mogą opowiedzieć o sobie, ale to nic szczególnego - usłyszałem w czasie pierwszej rozmowy. Wtedy już mogłem odetchnąć z ulgą.

Schludne, przytulne, przeciętne mieszkanie przy ul. Hirszfelda 8. I to samo zastrzeżenie na początku rozmowy, że nie usłyszę nic szczególnego, że będzie to opowieść o losie dwojga zwykłych ludzi. Kobieta sypie cukier do kawy, przytrzymuje delikatnie gestykulującą rękę mężczyzny, podsuwa szklanke do jego dłoni, a on, jakby grzejąc o gorące szkło opuszki palców, sunie nimi ku górze. Podnosi do ust.

Przed wojną stawiał piec w nowych kamienicach, pamięta adresy: Szopena róg Konopnickiej, Graniczna 24, Okopowa od nr 8 do 12, Niecała 12, Weteranów i Skłodowskiej. Wiedział, że cała zduńska sztuka polega na dokładnym ustawieniu kafelków, że wiązać trzeba każdą szychtę, a najlepsza jest glina mocno czerwona, do której należy dosypać soli. Gdy rozpali się pierwszy raz i sól się zaszkl, przysiąc można, iż piec stać będzie kopę lat.

Do Lublina przyjechał z matką i trojgiem rodzeństwa z rodzinnego Jastkowa po śmierci ojca. Zamieszkali w suterenie przy Lubartowskiej 79. Niedługo potem do tego samego gospodarza, do sąsiedniej sutereny, sprowadził się z ul. Ruskiej mistrz murarski Szymanowski z rodziną, której częścią było dziewczę o imieniu Lucyna. Nie, nic się nie wydarzyło od pierwszego, a i kolejnych wejrzeń. Prawdopodobnie i z tego względu, iż przyszła pani Majowa liczyła wtedy niewiele ponad dziesięć lat. A zresztą, wkrótce rzeczywistością okrutną stać się miało to, o uchwianie przed czym obok ognia i głodu, w modlitwie proszono Pana.

O wojnie więc, widzianej ich oczami:

- Każdy dzień był pełen bojaźni. W każdym jednym momencie mogli przyjść Niemcy i zabrać na roboty, do więzienia, na Majdanek.

- W czterdziestym drugim roku kierownik Duczumiński musiał zamknąć szkołę przy Lubartowskiej 24, do której i ja chodziłam. Zaproponował mi pracę w swoim sklepie przy Bychawskiej. Przyjęłam to z wdzięcznością, miałem wtedy 15 lat.

Wkrótce dostałam jednak wezwanie na roboty do Niemiec. 24 godziny przesiedziałam już w punkcie zbornym na Krochmalnej, ale mamusia Wyprosiła jakoś moje zwolnienie.

- Mnie Niemcy zabrali do obozu pracy przymusowej na Siennej. Układaliśmy tory kolejowe na Tatarach. Robota była ciężka, karmili nas brukwią przeważnie, parę razy zostałem pobity do krwi, podupałem na zdrowiu. Na nic im był taki robotnik. I wypuścili mnie.

- Tatusia wzięli do budowy baraków na Majdanku. Na noc przychodził do domu. Ale każdego dnia siedzieliśmy w oknie i wyglądali, kiedy on przyjdzie. Najmłodsze nawet dzieci wiedziały, że gdyby przeszła godzina, a jego nie było, to już nie wróci. Pamiętam, zawsze sobie życzył, żeby mu mamusia zrobiła chleb z jajecznicą i cebulą. Ale on tego nigdy nie jadł, oddawał więźniom. A po powrocie do domu nie mógł jeść. Opowiadał o ludziach stojących nago na śniegu, o dziesiątkowaniach, o komorach gazowych.

Trafiła do nas jedna pani z Łodzi, której mąż, profesor, był na Majdanku. Prosiła tatusia, by podał mu karteczkę i coś z żywności. Czekala aż wróci z wiadomościami. Gdy się zrobiło ciemno - izba była mała, nas sześcioro - mamusia pościeliła jej na stole. Przyjeżdżała jeszcze, aż dowiedziała się, że mąż jej nie żyje. Niedługo zmarł i tatuś.

Od syna gospodyni, Zbyszka Walli, który miał zakonspirowane radio, lokatorzy wiedzieli o sytuacji na frontach. Gdzieś w połowie lipca 1944 roku wiadomości o zbliżaniu się Rosjan, potwierdził jęk dział od strony Bugu. W pobliskim ogródku zaczęli więc kopać zygzakowaty rów. A gdy był głęboki na 2 metry, przykryli belkami, deskami, zamaskowali zielonymi gałęziami. Niedługo w tym schronie ratować mieli życie przed frontową nawałą.

Niech wojna, jej koszmar, choć na chwilę odejdą w cień, by była sposobność na opowieść o chłopcu i dziewczynie:

- Do niej przychodziły koleżanki, do mnie koledzy. I wieczorami, jak to młodzi, spotykaliśmy się.

- Ani on na mnie nie zrobił oszałamiającego wrażenia, ani ja na nim. Normalne koleżeństwo, potem przyjaźń. I od tego się zaczęło...

- Nie można było nigdzie wyjść z obawy przed łapankami. Siadywaliśmy więc wieczorami w sionce, ale też ze strachem, bo Niemcy świecili latarkami po oknach, zaglądali do środka.

- A za późne powroty dostawałam lanie od rodziców. Do dziś czuję jeszcze murarską rękę tatusia. Pamiętam pierwszy pocałunek Janka. Boże, jak ja zakrywałam później ten policzek, w który mnie cmoknął. Wydawało mi się, że wszyscy o tym wiedzą, że przyglądają mi się.

- Nie planowaliśmy wtedy pobrania się...

- Oj, Janeczku! Nie mów głupstw. Bo opowiadałeś, że jak ja wyjdę za ciebie za męża, to nie będę pracowała, że będzie mi dobrze, bo ty będziesz zarabiał. A co się potem okazało?

W sierpniu 1944 r. mężczyźni zgłosić się mieli przed komisją poborową. Gdy zgodnie z prawidłami alfabetu przyszła kolej na literę M, do gmachu przy ul. Narutowicza 2, pomaszerował z zapakowanym kuferkiem kandydat na żołnierza - Jan Maj. Ale na nic się zdała ta jego gotowość. "Z tak słabym wzrokiem - powiedziano mu - w wojsku nie potrzebujemy". W miejsce kaprała w mundurze, pisany był mu -jak dziś ironizuje - kapral w spódnicy. Gdy szli dawać na zapowiedzi, ona liczyła całe 17 lat, a on starszy był o lat cztery.

- Do kościoła jechaliśmy dorożką. Nie miałam ślubnej sukni ani welonu. Skromny jasny kostiumik i kapelusz z szerokim rondem pożyczyłam od dobrej koleżanki, Hanki Ceglarzówny. Jej powodziło się najlepiej spośród nas. Jedyńca, ojciec był palaczem w cegielni, a matka sprzątała u lekarzy, adwokatów. Hanka została naszym świadkiem.

- Obrączki, zresztą tombakowe, bo tylko na takie mnie było stać, kupiłem na targu na Psiej Górcie. Mój czarny garnitur był już dobrze wysłużony, ale za to, chyba po raz pierwszy w życiu, miałem krawat. Drugim naszym świadkiem był Jasio Bąk. Ani on, ani Hanka nie żyją. Hanka już podczas ślubu była bardzo chora, zasłała nawet w kościele. Zmarła w parę tygodni później, a miała tylko 17 lat. Jasio Bąk natomiast niedługo potem dostał zapalenia płuc, a wtedy trudne to było do wyleczenia.

- Wesela, tak jak to się dziś rozumie, nie mieliśmy. Był obiad dla rodziny i koniec. A potem żonę pod pachę i do sutereny przy Bonifaterskiej, w której mieszkałem z mamą i dwoma braćmi. Nie mieliśmy nawet własnego łóżka. Na pierwsze poślubne dni pożyczylimy je od sąsiadki. Po paru tygodniach odkupiliśmy łóżko od znajomej. I to był nasz pierwszy własny mebel.

- W 1945 roku urodziła się nam córka. Jak przynieśliśmy ją ze szpitala, nie było w czym położyć. Gdy tak rozglądałam się, zobaczyłam niecki - i to było odkrycie. Bo małą można było huścić tak jak w kolebce. Pamiętam, jednej nocy płakała. Trzeba ją było wziąć do siebie, nakarmić, uspokoić. Ja - miałam 18 lat - byłam młoda i zmęczona. Wzięłam dziecko, położyłam na kolanach, dałam pierś i zasnęłam. Budzę się, a tu dziecka nie ma. Znalazła się w nogach, ale nic się nie stało - dziś jest wielka, zdrowa.

- W lipcu tego samego roku poszedłem do pracy urzędniczej w magistracie. Przez kilka miesięcy nie otrzymaliśmy poborów, tylko ekwiwalent w postaci cukru, skóry,

drożdży. Sprzedawało się więc skórę szewcom, a resztę towarów na rynku, czasem przyszedł handlarz. Radio Tesla, które później dostałem w nagrodę, zamieniłem na garnitur. Gdy w 1950 roku powstało Prezydium MRN zostałem sekretarzem prezydenta Krzykały. I wtedy - jak to się mówi - byłem blisko "żłobu". Niedługo otrzymałem mieszkanie służbowe, dwa pokoje z kuchnią...

- W ramce za szkłem odznaczenia: Medal X-lecia PRL, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski. Wie ich właściciel że tu są, ale nie może ich dotknąć, bo przeszkadza szyba, nie może ich zobaczyć, gdyż na skutek zaniku nerwu wzrokowego widzi tylko światło i cienie. 15 lat temu przeszedł na rentę. On, który nigdy w ciągu ćwierćwiecza nie spóźnił się do biura, bo pragnął i umiał być urzędnikiem, bo cenił ludzi i pracę. Czy nosi w sobie - nieobcy podobnym mu w nieszczęściu - żal do Pana Boga i całego świata o to, że barwy i kształty przywołuje tylko z pamięci?

- Mam tę satysfakcję - mówi - że nie byłem niewidomy od urodzenia. Widziałem wszystko to, co mnie otacza, mogłem jeździć na ulubionym motorze...

- Proszę pana, mąż nie przyznaje się do tego, że początki były okropne. Okropne! Gdy już miał nie iść do pracy, przeżywał to bardzo.

- Tak, to był wstrząs. Przywykłem jednak. Pracuję społecznie w Związku Niewidomych, jestem członkiem zarządu, przez parę kadencji byłem nawet wiceprzewodniczącym. Najgorzej jest zimą, gdy nie mogę wyjść na balkon, a żona akurat u córki zajmuje się wnukami. Jestem sam w czterech ścianach. Chodzę wtedy po pokoju w lewo i w prawo, wydeptałem chodnik, że aż są dziury...

Nie sprawdziła się pana Janowa narzeczeńska obietnica, że będzie dobrze zarabiał. Toteż, nawet nie odchowawszy jeszcze dzieci, pani Majowa znów stanęła za sklepową ladą. I to na całych lat 18. Byłoby z pewnością tych lat jeszcze więcej, gdyby nie to ciągłe pilnowanie swoich i obcych, strach przed mankiem, no i takie, a nie inne pobory. Właśnie z nadzieją na większe, podjęła pracę w "Polfie". Obsługiwała maszyny wykonujące elementy strzykawki albo zestawu do pobierania krwi. Po 13 latach dolegliwości serca i kręgosłupa były jednak tak silne, że zdecydowała się prosić o rentę. Nie uwierzono jej, posądzono, że zyskać chce tylko wyższą stawkę i zostać. Przecież nie chodziła do lekarzy, nie korzystała ze zwolnień. Pozostało wymówienie. Gdy je złożyła, wtedy i rozwiały się wątpliwości. Mogła podjąć starania o rentę.

W ostatnim okresie poprosiła o godziny nadliczbowe. Stawała przy swojej maszynie w każdą noc z soboty na niedzielę i z niedzieli na poniedziałek. Koleżanki, które pracowały na zlecenie, dostawały za noc dwukrotnie więcej niż ona. Wypłata za zlecenie - jako że nie figurowała na liście płac - nie liczyła się do renty. Ogarnąć i zrozumieć to!

- Czuję się pokrzywdzona! Pracowałam od 1947 roku a moja renta wynosi mniej niż najniższa ustawowa płaca. Mąż ma trochę więcej, z dodatkiem inwalidzkim, to będzie prawie... połowa przeciętnej pensji. Dawniej miał jeszcze dodatek za Krzyż Kawalerski, ale po 1989 r. dodatek skasowali.

- Piętro wyżej mieszka córka z mężem i dwojgiem dzieci. Dla nich i dla nas prowadzę jedno gospodarstwo. Wkładamy pieniądze do wspólnej kasy - oni dwa razy tyle, co my, bo jest ich czworo. Nie mogę wydać dziennie więcej niż ustalony limit. Toteż gdy wczoraj obiad był pożywniejszy, dziś będzie zupa jarzynowa i ryż ze

śmietaną.

Wszystkie zakupy zapisuję w zeszycie, oto wczorajsze: 1 kg kielbasy zwykłej, 1,5 kg schabu, 2 kurczaki, wołowina... Mam też w tym zeszycie przegląd tego, co jest w lodówce. Gdy wzięłam wczoraj kurczaka na obiad - wykreśliłam, kostka masła poszła na śniadanie - też wykreślona.

Co kilka dni robię remanent, porównując stan kasy i apetyty. Superata nie zdarzyła mi się jeszcze nigdy. W zeszłym miesiącu miałam, niestety, manko. Mąż i córka spłacili. Ale czy wydaje się tylko to, co na życie?

- Nie wiem, kiedy przeleciało te 40 lat naszego małżeństwa. Mimo kłopotów i zmartwień wydaje mi się, że ślub był wczoraj. Pragnęłabym żeby i nasze dzieci nie miały gorszego życia niż nasze. Zresztą, moja córka też wybrała na dzień swojego ślubu 17 września. Z wiarą, że i dla nich ta data będzie szczęśliwa. A wnuczka któregoś dnia mówi do mnie: Oj, babciu, żebym ja dostała takiego męża jak dziadek...

Uniwersytet

To, że w dopiero co wyzwolonym Lublinie powstał uniwersytet, nie było kwestią przypadku. W 60 lat później przekonanie takie wyrazi prof. Mieczysław Wieliczko, historyk z tegoż Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej .

- Było to - powie - pierwsze z oswobodzonych większych miast. W miarę zorganizowane, w miarę spokojne. Front stał nad Wisłą, jakieś 50-60 km stąd. Miał też Lublin tradycje akademickie sprzed wojny. Były tu: Katolicki Uniwersytet Lubelski i izraelski Jeszibut. Dlatego ciągnęli tutaj uczeni z różnych stron. Z ukrycia i śmiem twierdzić, że z opłotków i pastwisk, bo paru profesorów, żeby przeżyć, było pastuchami w czasie wojny.

Przyjeżdżali ze Lwowa i Wilna, bo wiadomo już było, że miasta te znajdują się poza Polską. Lublin dawał pewien spokój. Zaś ogromna, nieustannie rosnąca liczba osób, sprawiała, że jechało się tu też, by szukać krewnych, znajomych. Przybywało więc profesorów o głośnych przed wojną nazwiskach. Uczony zaś, taka już jego natura, ma potrzebę dzielenia się tym, co wie. Stąd pomysł na uniwersyteckie wykłady otwarte - tłumaczy Wieliczko.

Rozpoczęły się one 11 września, w salach liceum imienia Jana Hetmana Zamoyskiego, przy Ogrodowej. O swoich pasjach, przemyśleniach i przedwojennych badaniach, jako pierwsi mówili: Leon Białkowski, historyk, profesor KUL; Józef Gajek, etnograf, ludoznawca, redaktor rocznika "Lud"; Witold Hensel, archeolog; Juliusz Kleiner, jeden z najwybitniejszych polskich literaturoznawców; Marian Małowist, historyk. Wkrótce dołączyli: Henryk Raabe, Ryszard Węgierko, Mieczysław Rogalski, Marian Rytel, Bronisław Miklewski, Eugenia Bragierowa, Mieczysław Stełmasiak, Konstanty Strawiński, Wincenty Rzymowski.

Wiadomość o wykładach, podawana z ust do ust, rozchodziła się po Lublinie błyskawicznie. Zainteresowanie nimi było niewyobrażalnie duże. Tłoczyli się na nich młodzi, którzy kształcili się w konspiracji i korzystali teraz z okazji, by kontynuować naukę. Ale najwięcej było tych, którzy przychodzili chłonąć polskie słowo. Były to pierwsze publiczne wystąpienia Polaków od września trzydziestego dziewiątego, jak i pierwsze zgromadzenia organizowane z własnej woli.

Mówi Mieczysław Wieliczko

- 20 października Stanisław Skrzyszewski, minister oświaty w PKWN (przedwojenny profesor gimnazjalny z Dębicy, było nie było z doktoratem), wszystkich prowadzących wykłady zaprosił do Urzędu Wojewódzkiego. Kiedy grono uczonych znalazłszy się w jednej sali popatrzyło po sobie, wniosek nasuwał się sam: stanowią siłę będącą w stanie utworzyć uniwersytet. Pokusa okazała się duża. Dlatego dyskusja prędko sprowadziła się do jego organizacji i przyszłego kształtu. Grupa profesorów, na czele z Henrykiem Raabe, przygotowała wystąpienie na posiedzenie plenarne PKWN. Odbyło się ono 23 października.

Raabe zaproponował utworzenie uniwersytetu przyrodniczego, ponieważ tych sił profesorskich było najwięcej: około 20 profesorów nauk medycznych, po kilku weterynarzy, rolników, matematyków, fizyków, chemików, biologów i geografów. Gdy zgodzono się na taki właśnie profil uczelni, Adam Ostrowski, kierownik Wydziału Administracyjnego PKWN, zasugerował, by patronką uczelni została Maria Curie-Skłodowska, "bo to najwybitniejsza przedstawicielka nauk przyrodniczych, a

przy tym rodzinie związana z Lublinem". Wnioski z dyskusji stały się podstawą do sformułowania Dekretu PKWN, mocą którego powołany został UMCS...

26 października, z udziałem ministra Stanisława Skrzyszewskiego, odbyło się ogólne zebranie profesorów, podczas którego wybrano rady wydziałów. Dziekanem Wydziału Lekarskiego został prof. Jan Henryk Lubieniecki, Wydział Przyrodniczy objął prof. Konstanty Strawiński, na Wydziale Weterynaryjnym dziekana wtedy nie wyłoniono. Wkrótce zorganizowany został Wydział Rolny, funkcję dziekana powierzono prof. Januszowi Domaniewskiemu.

Późną jesienią, w grupie specjalistów w zakresie nauk medycznych, usamodzielnił się chemicy-farmaceuci, co zaowocowało powstaniem Wydziału Farmaceutycznego. Na dziekana wybrano prof. Kazimierza Kalinowskiego. Również samodzielnie ze swego grona profesorowie wybrali prorektora. To stanowisko 9 stycznia 1945, na krótko przed inauguracją pierwszego roku nauki, powierzono prof. Ludwikowi Hirsfeldowi. Rektora, prof. dr. Henryka Raabe, zaraz po utworzeniu uniwersytetu powołał PKWN.

O tych dniach tak mówi prof. Mieczysław Wieliczko:

- Dla początków UMCS charakterystyczne są: autonomia uczelni oraz samorządność uczonych według najlepszych wzorców akademickich sprzed wojny. Ludzie tworzący uniwersytet formowali go jako swoją - profesorską i studencką - własność, jako wspólne dobro.

Rota studenckiego ślubowania brzmiała: "Wchodząc w skład społeczności Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej jako student tego uniwersytetu ślubuję uroczyście, że w swym postępowaniu strzec będę honoru i godności uczelni, której staję się obywatelem, wysokiego współżycia akademickiego, przestrzegać przepisów szkoły i czynić wszelkie wysiłki ku podniesieniu swej wiedzy w głębokim przeświadczeniu, że czynię to dla dobra odrodzonej Ojczyzny mojej, dla rozkwitu i potęgi Najjaśniejszej Rzeczypospolitej".

O żadnej polityce w ślubowaniu, jak i na uczelni, wówczas nie było mowy. Poza skrytą, ale skuteczną akcją ze strony PKWN, który zręcznie dyskutował, że rodzi się nauka, że ludzie o dobrych nazwiskach podejmują pracę. Gromadzony kapitał polityczny dopiero miał zostać wykorzystany propagandowo.

Władzy - dodaje Wieliczko - zależało jeszcze wówczas na zachowaniu pozorów normalności, wrażenia niepodległości. Dlatego też 1 listopada przewodniczący KRN Bolesław Bierut, tytułowany prezydentem, grupie uczonych z przedwojennym tytułem profesora wręcza nominacje profesorskie, jakby legalizując ich prawa w nowej rzeczywistości. Dyplomy otrzymali tego dnia: Kazimierz Kalinowski, Feliks Skubiszewski, Janusz Domaniewski, Mieczysław Biernacki, Narcyz Łubnicki, Jan Henryk Lubieniecki, Konstanty Strawiński i Henryk Raabe.

Oficjalna inauguracja pierwszego roku nauki miała miejsce 14 stycznia 1945 r. Zajęcia odbywały się jednak już od połowy listopada. Dotyczyło to wydziałów, które zdołały skompletować kadrę oraz potrafiły zdobyć jakiś kąt. Z lokalami było najtrudniej. Uniwersytet musiał oddać Liceum Staszica wypożyczone klasy, ruszała bowiem szkoła. Natomiast zdobycie najskromniejszych pomieszczeń w "stołecznym" Lublinie, nasyconym władzą polską, a przede wszystkim sowiecką, było wyczynem nie lada. Odczuł to najbardziej Wydział Lekarski. Bo choć nie brakowało kadry, to nie było gdzie posadzić studentów. Zgłosiło się ich bowiem ponad dwustu, i to w

zasadzie na wszystkie lata, były to bowiem osoby, które pewien etap studiów zaliczyły przed wojną, albo w konspiracji. Przy czym medycyna nie była tu wyjątkiem.

Początki funkcjonowania Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej budzą szacunek. Na zapleczu frontu, w warunkach odbiegających od każdej normy, uruchomionych zostało 35 katedr obsadzonych przez 42 profesorów. Nauki pobierało 806 studentów na wszystkich latach. Poziom większości zajęć był wysoki. W roku akademickim 1944/45 na Wydziale Przyrodniczym przeprowadzili habilitacje następujący doktorzy sprzed wojny: Narcyz Lubnicki, Gabriel Brzęk, Hieronim Jawołoski i Adam Paszewski. (Lubnicki i Paszewski zostali później honorowymi doktorami UMCS, zaś Paszewski był pierwszym rektorem po Październiku 1956, co zostało odebrane jako powrót do najlepszych tradycji z jesieni 1944). Natomiast na Wydziale Lekarskim habilitację przeprowadzili: Tadeusz Kielanowski (wkrótce został rektorem), Ludwik Hirszfild, Edward Grzegorzewski, Zygmunt Kuligowski i Jerzy Możycki. Zaś po pierwszym roku nauki w UMCS - co było wynikiem rozpoczęcia studiów przed wojną lub w konspiracji i osiągnięcia odpowiedniego poziomu - 20 osób otrzymało dyplom lekarza, 6 weterynarza, po dwie magistra matematyki i geografii, po jednej chemii i zoologii.

W tym samym czasie w Lublinie powstawały załączki uczelni, które wkrótce wrócić miały do swych rodzimych miast. Tu formował się Wydział Lekarski Uniwersytetu Warszawskiego, który jeszcze przed wyzwoleniem lewobrzeżnej Warszawy rozpoczął działalność na Pradze. Również w Lublinie powstały zręby Politechniki Warszawskiej oraz krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. W połowie stycznia 1945, gdy Warszawa i Kraków były wolne, uczeni i rzadziej studenci, związani przed wojną z tymi uczelniami, spakowali skromne manatki i wyjechali "do siebie".

Także jesienią 1944, po wojennej przerwie, wznowił działalność Katolicki Uniwersytet Lubelski. Uroczystość inauguracji roku akademickiego 1944-45, pierwsza w wyzwolonym kraju, odbyła się w niedzielę, 12 listopada 1944. Wykład inauguracyjny pt. "Królewskie Towarzystwo Nauk i Literatury w Aleksandrii", wygłosił prof. Mieczysław S. Popławski. Wśród gości znaleźli się m.in. gen. Zygmunt Berling oraz przedstawiciel władz radzieckich gen. Mikołaj Bułganin. Obecny był także rektor powstającego Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej, prof. Henryk Raabe.

Zajęcia odbywały się podobnie jak przed wojną na czterech wydziałach: Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych, Nauk Humanistycznych, Teologicznym, Prawa Kanonicznego. Wśród wykładowców znaleźli się wybitni humaniści: Jan Parandowski, który wkrótce został dziekanem Wydziału Nauk Humanistycznych, Juliusz Kleiner, Andrzej Wojtkowski, przed wojną dyrektor Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, mianowany niedługo przez Senat dyrektorem Biblioteki Uniwersyteckiej KUL, a także Leon Halban, Jan Dobrzański, ks. Mieczysław Żywczyński.

Zmierzch nadziei

- Skończyła się straszliwa niemiecka okupacja. Można już było wziąć do ręki biało-czerwoną chorągiewkę, znów była tu nasza ojczyzna. Realne wydawały się marzenia o spokojnej i godnej przyszłości. Stąd nasz entuzjazm latem 1944 roku - mówili mi bohaterowie tych reportaży. - Szybko jednak okazywało się, że zostaliśmy oszukani...

Władza szermowała frazeologią patriotyczną, wiedząc że po latach deptania polskości jest to ludziom potrzebne. Zapowiadała demokrację i swobody obywatelskie. Gdy słowa nie zgadzały się z czynami, ludzie łudzili się - trwa jeszcze wojna, gdy się skończy, będzie inaczej. Nie mogło.

26 lipca, w Lublinie ukazuje się oświadczenie Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych zawierające jednoznaczne stwierdzenia: o granicy na Bugu, że ZSRR nie ma pretensji do innych niż zaanektowane właśnie ziem polskich, że nie zamierza sprawować w Polsce władzy. Już wtedy Lubelszczyzna, a później całość ziem polskich, traktowana jest przez stronę sowiecką jako strefa działań wojennych. Obowiązuje - jedyne w swoim rodzaju - sowieckie prawo wojenne, nie skodyfikowane, nie podlegające konwencjom międzynarodowym. Powstają wojskowe komendantury z uprawnieniami wręcz okupacyjnymi. Są złej sławy wojska ochrony tyłów NKWD, w tym utworzona w Lublinie z rozkazu gen. Sierowa, 64 dywizja, która w ciągu dwóch dni osiąga stan 6 tysięcy bagnetów. Dyslokuje się na Lubelszczyźnie, Białostocczyźnie i Rzeszowszczyźnie.

Zaczynają się represje i masowe aresztowania. W połowie sierpnia więzienie na Zamku oraz prowizoryczne areszty: przy Chopina 2, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Ewangelickiej, przy Krótkiej, w klasztorze oo. Karmelitów przy Świętoduskiej, nie mieszczą uwięzionych. Wobec tego ponownie, jak w czasie hitlerowskiej okupacji, zaludnia się II Pole na Majdanku, będące teraz obszarem wojskowym, pilnowanym z tych samych, co w czasie wojny, wież strażniczych.

Mieszkańcy Lublina nie orientowali się wtedy w skali sowieckiego nie terroru. Młodzi ludzie, głównie akowcy, znikali bez wieści. Bo - rodziły się przypuszczenia - prawdopodobnie zostali wcieleni do armii. Mało kto wiedział, że w rzeczywistości trzymani byli, poddawani torturom, w sowieckich więzieniach i aresztach. Te bowiem znajdowały się na terenach wojskowych. Pod osłoną nocy ładowani byli do wagonów i wywożeni na Wschód. Lublinianie, w szerszym zakresie, dowiedzieli się o tym dopiero w 1946 r., gdy pierwsi więźniowie zaczęli wracać ze zsyłki.

- Nie można znaleźć takiego momentu, o którym powiedzieć można, że wtedy właśnie władza w naszym kraju przeszła z rąk sowieckich do polskich - mówi prof. Mieczysław Wieliczko, historyk.

Cezurą może być rok 1956, kiedy to po Październiku pękły okowy i zaczęto wycofywać radzieckich doradców i rozmaitych współdecydentów, obecnych już na poziomie powiatowej władzy...

Inni wymieniają bliższy nam rok 1993, kiedy to ostatni żołnierz Armii Czerwonej opuścił Polskę.